



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 18 kwietnia 1954 r.

Nr 16 (212) Rok V

A R A G O N

NARÓD FRANCUSKI PAMIĘTA

I leż to razy z powodu niepo-
myślnej wojny lub zbyt krwa-
wo opłaconego zwycięstwa —
ci, co dzierżyli zwycięski fran-
cuski sztandar, ci, którym
sztandar francuski był powie-
rzony, zwątpili o Francji, albo ją
zdradzili...

W „Edwardzie III” (przez wielu
uważanym za sztukę apokryficzną)
Shakespeare, pisarz angielski, przed-
stawiając epilog nieszczęsnej bi-
twy pod Poitiers, kiedy to król
Francji Jan Dobry z delfinem Ka-
rolem dostali się do niewoli, wkła-
da w usta przyszłego Karola V te
słowa, które moglibyśmy dziś pow-
tórzyć od siebie:

*Czemuż nie jestem synem innego
narodu
Ten dzień okrył śmiesznością sa-
mo imię Francji
I świat cały nas weźmie na urą-
gowisko*

Historyk Froissart, stronnik Bur-
gundii a tym samym sojusznik An-
glików, podaje opis tych dni, któ-
re pod jego piórem osobliwie przy-
pominają wydarzenia z roku 140.
Na marginesie tej relacji pisał w
ubiegłym wieku Prosper Mérimée,
którego dzisiaj ludzie znają znacz-
nie lepiej jako autora „Carmen” niż
jako wyrażiciela takich uczuć: „Czy
należycie do tych, których francus-
kie serca krwawią z powodu klęski
pod Poitiers? Ja jestem z tych; i to
mnie — przy lekturze Froissarta —
pobawia w znacznej mierze zado-
wolenia literackiego, jakie powin-
nien by odczuwać akademik”.

Istotnie jesteśmy jak on, nie przez
jakieś nacjonalistyczne zaślepienie
lecz dlatego, że ta klęska sprzed
szesnastu lat porusza w nas dozna-
nia sprzed lat czterech i że fran-
cuski książę ze swym okrzykiem
„Czemuż nie jestem synem innego
narodu?” wydaje się nam dziwnie
podobny do tych, co dzisiaj podej-
mują ówczesne wypowiedzi, mówią
o wyrzuceniu się suwerenności pań-
stwowej, i kiedy w La Palice, w
Poitiers czy w Orléanie obwołuje
cudziemuś armia, myślą o zmia-
nie ojczyzny — w braku możliwości
zmiany rodowodu jak to się prak-
tykuje dla psów.

W roku 1940 Pétain co rano do-
magał się od nas, byśmy uznali
klęskę Francji, bijąc się w piersi i
składając nasze nieszczęścia na
Republikę, na demokrację, na De-
klarację Praw Człowieka i Obywa-
tela... Należało bowiem podporzą-
dkować się rasie panów, roslých
jasnowłosych Aryjczyków, będących,
jak twierdzili, zwycięzcami na całej
tysiąclecie.

Dzisiaj ponownie hasło atlanty-
ckie brzmi: upokorzyć Francję; po-
wtarza je periodycznie prasa ame-
rykańska — od Life do New-York
Tribune. Ponieważ trzeba zapewnić
w świecie supremację amerykań-
skiemu stylowi życia, amerykań-
skiemu towarom, dolarowej cywiliza-
cji. A nasi „książęta następcy” go-
dząc się na to, głoszą upadek Fran-
cji, wyższość yankesów; i wołają,
w każdym razie w głębi duszy:
„Czemuż nie jestem synem innego
narodu!”

Nie uwierzyliszy Pétain’owi, te-
mu Marszałkowi, co Francuzom
mówił, że mają krótką pamięć. Bo
dla nas — w przeciwieństwie do
dogmatu z Vichy — Francja to
przede wszystkim Francuzi. Ojczy-
zna — to nie jest pustynia, to lud.
I ojczyzna jest nieśmiertelna wła-
śnie dlatego, że, jak to pięknie sformu-
lował powieściopisarz radziecki,
„lud jest nieśmiertelny”.

Można — drogą przymusu —
zmieniać konstytucje, rządy, narzu-
cić jakiemuś krajowi kierowników
obcych mu duchem; nie podobna
zmienić jego ludu. Lud jest wytwor-
em stuleci, niepowstrzymanego i
wciąż odradzającego się życia, to
rozrost tradycji odnawiających się
w nowych pokoleniach, to następ-
stwo owych **wiosen człowieczych**, o
których wspaniale mówił Michelet.

Lud nigdy nie powie tego, co mo-
że powiedzieć delfin: „Czemuż nie
jestem synem innego narodu!” sko-
ro on sam jest ojczyzną; on nie jest
chorąży w okazałym dworskim
stroju, jest samym sztandarem. A
ojczyzna gdy krwawi — to jego
krwawi. I on wie, że wielkość kra-
ju — to jego wielkość.

I tak było zawsze. Tak samo jest
i dzisiaj. Toteż, chcąc w roku 1954
znaleźć wyraz wielkości Francji,
należy szukać go w ludzie. Tam —
nie ma żadnego rozprawiania o
rzekomym zwyrodnieniu naszej oj-
czyzny — jak to goebbelsowski An-
griff i Life Mac Carthy’ego podsu-
wają tym spośród nas, którzy by
chcieli innej ojczyzny. Było też cał-
kiem naturalne, że najwyższą afir-
mację tej nieprzerwanej wielkości
dał nam człowiek z ludu, który
wszakże nie wyszedł z ludu (jak to
określa starożytny wyraz), skoro

stał na jego czele i stał się jego
rzecznikiem. Było rzeczą natural-
ną, że publiczną i uroczystą afir-
mację wielkości naszego narodu
przyniósł Maurice Thorez w swym
wystąpieniu w Drancy.

Ze Francja jest wielkim narodem,
że nim pozostaje — nie masz dziś
donioślejszego stwierdzenia.

Pierwszy przykład francuski —
to powstanie francuskiego narodu,
owa równowaga, ów pokój ludzi
żyjących pod tym samym niebem
i na tej samej ograniczonej ziemi.
Pierwszy wyraz francuskiej mądro-
ści. Później zrodził się z niej ów
świat oświecenia, dziedzictwo
Encyklopedii i Rewolucji, Francja
postępu, ta, co na swoich pomni-
kach wypisała trzy słowa: **Wolność,
Równość, Braterstwo**, ponieważ po-
jęcia te powołała do życia łącznie,
i reszta świata od niej się dowie-
działa, że ludzie mogą być wolni
tylko wówczas, gdy są równi i zbra-
tani.

Tę właśnie Francję promieniającą
całą daleko poza nasze granice chciał
znieczyścić taki Hitler, właśnie w
imie panów przeciwko ludowi.
Francja — dla całego świata — to
francuski lud. A to wszystko, co
jest Francją, wszystko jej dziedzic-
two, wszystek jej trud dawny i o-
becny, jej bogactwa i jej uroki —
w tym wszystkim wyznać się może
jedynie lud francuski, czy to gdy
chodzi o pracę, którą wytwarzają
jego dłonie czy też o pomniki prze-
szłości, których twórcy mogli dzia-
łać według reguł dziś już od dawna
martwych, lecz które przetrwały
swoją pierwotną sens mocą narodo-
wą, nie przestając ją wyrażać. A lud
francuski ma długą pamięć.

Rozumiem przez to, że dzisiejszy
francuski robotnik, dzisiejszy chłop
mogli zapomnieć znaczenia Jezusów
i Madonn, lecz że piękny Bóg w
Chartres czy „Uśmiech” na katedrze
w Reims — to posagi francuskie i
że to masz lud w nich żyje i je o-
żywia — podobnie jak Chant du
Départ Rude’a na Łuku Triumfal-
nym albo Jean Bart Dawida d’An-
gers w porcie Dunkierki.

Lud zawsze się uśmiecha uśmie-
chem Reims.

Fakt, iż Francja jest wielkim na-
rodem niepokoi tych, co się obawia-
ją użytku, jaki ona może z tej swo-
jej wielkości uczynić. Albowiem
naród jest wielki jedynie w tym
stopniu, w jakim jest niepodległy,
a cały ich system intryg zmierza
właśnie do ograniczenia, do zwęż-
czenia tej niepodległości. Albowiem
ta niepodległość — to zaprzeczenie
jej związania się z innymi naroda-
mi, na przykład z na nowo uzbrojo-
nymi dla celów „europejskich”.
Niemcami, to złamanie frontu for-
mowanego na obcy rozkaz, to unie-
możliwienie wojny. Tak, oto czego
się lekają ci, co forsownie negują
wielkość naszego kraju. Lekają się,
by do dwóch lekcji udzielonych
światu przez Francję — lekcji po-
koju wewnętrznego czyli nado-
wolenia i lekcji rewolucyjnej czyli wolności
— nie dodała ona trzeciej: lekcji
niepodległości czyli światowego po-
koju.

Wszystkim bowiem dobrze wiado-
mo, że bez Francji nie może się
rozegrać trzecia wojna światowa i
że zatem wszystko zależy od jej
odmowy; tej odmowy, wychodzącej
od ludu, z każdym dniem skłania-
jącej coraz więcej Francuzów.

Toteż my, którzy jesteśmy z tej
ojczyzny i nie chcemy mieć innej
i dlatego obrzydaliśmy życie
wszystkim tym, co obozowali na
naszej ziemi — od czasów Joanny
D’Arc córki Lotaryngii do czasów
Gabriela Péri — pojmujemy, że
nie masz nic ważniejszego — tak dla
nas Francuzów, jak i dla wszyst-
kich pokój miłujących ludów — nad
to uroczyste stwierdzenie wielko-
ści naszego narodu. Nic doniośle-
szego dla sprawy pokoju, dla wol-
ności, dla trwania ludzkości.

Ta wielkość naszego narodu, któ-
rą ogłosił w Drancy Maurice Tho-
rez, to nie wytwór namiętności, nie
urojenie.

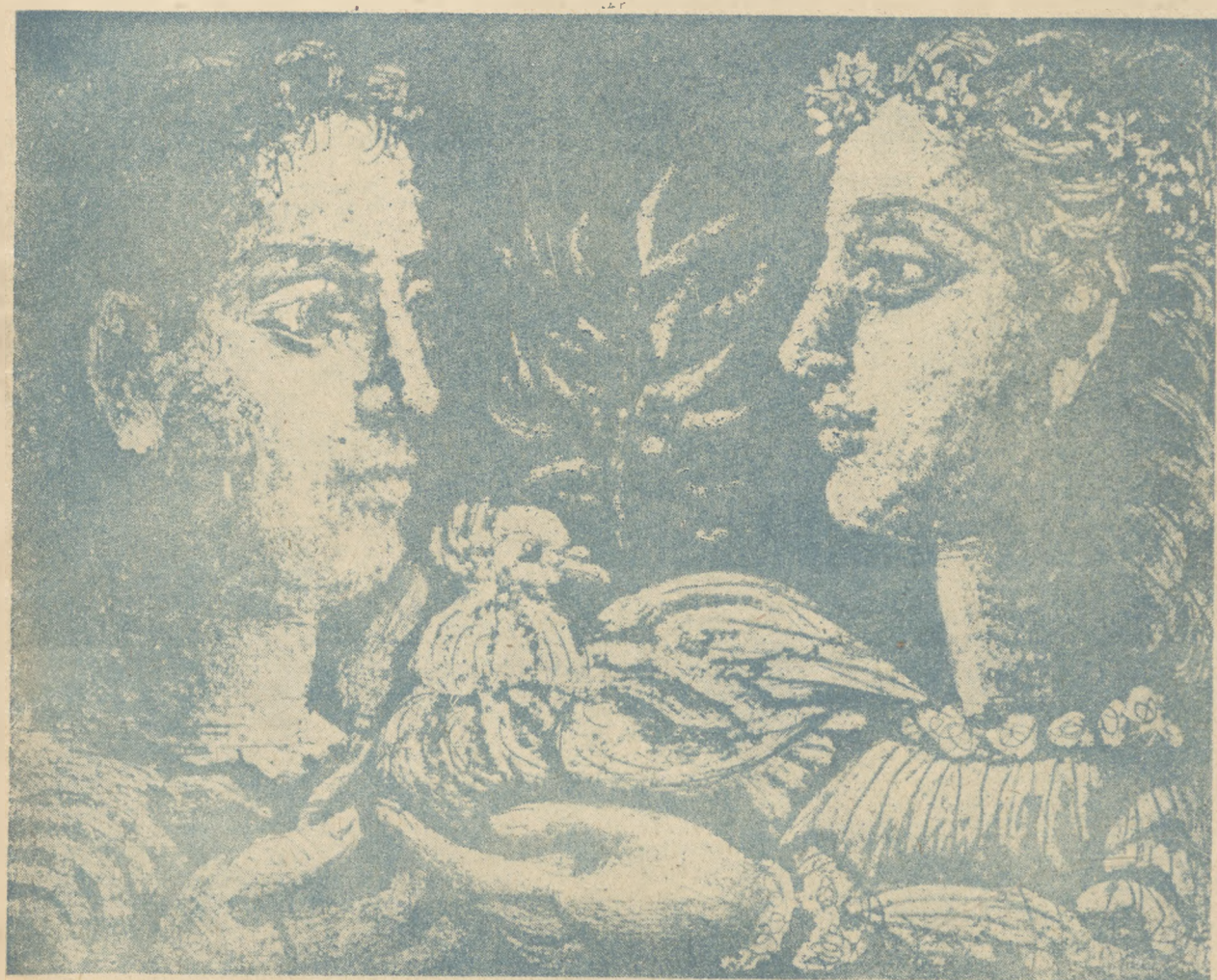
To jest fakt. Fakt jawny, oparty
na konkretnych dowodach. I podob-
nie jak o życiu w człowieku świad-
czy bicie jego serca, obieg jego
czerwonej krwi — wielkość Fran-
cji znaczy się tym nieustannym
rozrostem materialnych i ducho-
wych zasobów, który stanowi kon-
tynuację minionych stuleci i przy-
nosi całej ludzkości nasz wkład w
dzieło tworzenia życia i przyszło-
ści.

W dniu 16 października 1936 ro-
ku w Iwry na posiedzeniu Komite-
tu Centralnego Francuskiej Partii
Komunistycznej Paul Vaillant-Cou-
turier mówił już: „My kontynuujemy
Francję, szczerą Francję... La-
godny jej klimat, jej bogactwa na-
turalne, fortunny układ równin i
dolin wcześniej skupiły ludzi na jej
obszarze, zachęcając ich do prac
umysłowych. Wiele jest rysów wspól-
nych między wdziękiem postaci re-
na na wyrycie i namalowanie przez
przedhistorycznego myśliciela na
ścianie jakiejś groty w prowincji
Dordogne czy też Ariège a wdzie-
kiem postaci jelenia górującej nad
portalem pałacu w Anet...”

Czy gi, co chcieliby mieć inną oj-
czyznę, sądzą — jak to nam usłu-
żył wzmówić ich prasa — że zerwała
się ta niewidzialna więź, która łą-
czy przedhistorycznego renifera z
jeleniem z pałacu w Anet, która
sprawia, że poznajemy nasz lud
równie łatwo w „Uśmiechu” w
Reims jak w „Chłopach” braci Le
Nain albo w Gilles Antoniego Wat-
teau? Ze dzisiaj Stendhal zdobywa
sobie masowego czytelnika, że Cyd
stał się widowiskiem popularnym,
ludowym? Ze Couperin, Rameau,
Berlioz, Bizet, Debussy, Ravel —
to po całym świecie modulacje tej
samej melodii? Cóż tedy miałyby
zerwać nic?

Francja — to nie tylko piękne
wspomnienie. To żywa rzeczywistość.
I to co żyje, owocuje, rośnie,
rozwija się. Wielki naród francuski
wciąż posiada malarzy, rzeźbiarzy,
muzyków, pisarzy, aktorów. Nie-
wątpliwie zawdzięczają oni wiele
przeszłości naszej ojczyzny — ale
tak właśnie jak jelen z Anet reni-
ferowi z Ariège. A pejzaże Corot’a
nie przekreślają wcześniejszych o
trzysta lat pejzaży Poussin’a: ow-
szem są ich kontynuacją, ale przy-
tem je — przewyższają. Jak ów jelen
wobec rena. I nie ma żadnej pod-
stawy, by przypuszczać, że się to
kiedykolwiek skończy — dopóki
istnieć będzie francuski lud, ze swą
siłą, i miłością, i piosenką.

To mniemanej niemieckiej „wie-
dzy” pre-faszysty Spenglera ima
się dzisiaj taki Malraux, koncepu-
jąc cykliczny charakter cywilizacji
narodowych i głosząc nieuchronność
zmięrczu kultury — i to specjal-



PICASSO — SPOTKANIE MŁODZIEŻY (litografia)

nie w odniesieniu do naszej kultu-
ry. Dekadencja w dziedzinie sztuki,
nauki, literatury i myśli nie ma
bynajmniej piętna fatalizmu: jest
to jedynie wynik zamachów jed-
nych ludów na drugie, tyranii, u-
cięcia wojen.

I spojrzcie na nasz Paryż, gdzie
rozległa perspektywa od Placu
Gwiazdy do Luwru z „kołmi” Ma-
rly’ego u wjazdu do Champs Ely-
sées uchodzi za najpiękniejszą na
świecie. No i cóż, czy dzisiaj nie
otwarliśmy nowej wspaniałej per-
spektywy od tarasu Chaillet dowo-
dzącej, że dzisiaj Francuzi bynaj-
mniej nie stracili poczucia swej
wielkości narodowej?

Otóż więc ten lud arcy-żywy, ten
lud, co w roku 1940 dostarczył ty-
łu bohaterów, że ich zliczyć nie po-
dobna, ten lud, co nazajutrz po in-
wazji, która zalała całe jego tery-
torium, dźwignął na nowo swą go-
spodarkę, odbudował zniszczenia i
w osobach tych spośród swoich
synów, co pełnią najcięższą pracę,
dał przykład ofiarności i energii,
którym górniczy w roku 1946 odpo-
wiedzieli na przemówienie wygło-
szone przez Maurice’a Thorez w
Waziers — ten lud jest wciąż tym,
który wytwarza niezrównane wina
Burgundii, Bordeaux, Andegawenii,
Szampanii, pozostaje tym, którego
kobiety o czarodziejskich rękach ca-
łemu światu dyktują modę; jest
nadal tym, który w starodawnym
kunszcie gastronomii współzawod-
niczy z jedynymi dwiema wielkimi
światowymi tradycjami: chińską i
rosyjską; jest tym, który przez swe
istnienie umożliwił Pasteur’owi,
małżonkom Curie, profesorowi Lan-
gevin, małżonkom Joliot, Ludwiko-
wi de Broglie dorównanie tym

wszystkim, co rozszerzają zasięg
panowania ducha ludzkiego... Ni-
gdzie się więc nie urywa.

Trzeba tylko umieć to widzieć,
umieć podziwiać, umieć kochać.

Ci co żonglują narodowością, usi-
lując przytem ograniczyć do swo-
bie lud francuski, skłonni są zapo-
minać o kilku faktach drobnych,
a przecież nie pozbawionych wagi.
Największy poeta naszego Odro-
dzenia nazywał się Ronsard. Otóż
w szkołach pomija się pewien
szczeół, mianowicie jego pochodze-
nie: był on potomkiem rumuńskie-
go żołnierza nazwiskiem Marucini;
słowo to znaczy „ciemnie” („ronces”)
z czego powstało Ronsard. Cóż jest
bardziej francuskie nad poezję Ron-
sard’a? Tak samo czy jest coś bar-
dziej rosyjskiego od poezji Puszki-
na, który był wnukiem Etiopczy-
ka? Podobnie Lautréamont urodził
się w Urugwaju. Moréas był z po-
chodzenia Grekiem, pani de Noail-
les — Rumunką, tak jak jeden z
naszych najwybitniejszych tragi-
ków De Max, a nasz największy
malarz Picasso jest Hiszpanem z
Malagi. Lecz w tym rzecz, iż
śpiew, sztuka aktorska czy malar-
ska — to wszystko nie przechodzi
z ojca na syna za pomocą genów,
ponoć odkrytych przez biologów
szkoły Mendla. To tam, gdzie się
żyje, gdzie się pracuje, w natural-
nym siedlisku i atmosferze narodu
nawet z jednostki przesadzonej z
innej gleby wyrastają kwiaty narodu-
we. Tak winorośle czy drzewa o-
wocowe, przetransportowane z ob-
cych stron rychło się na naszym
gruncie przystosowują do niesienia
plonów, jakich nie dawałyby w ro-
dzinnym kraju.

Lecz faktem jest, że więcej niż
inne kraje świata przyciągają, za-
trzymują i wchłaniają wielkich ar-
tystów ziemia i lud Francji, posia-
dając arcy-wysoką sztukę asymila-
wania ich. Niechże mi kto powie,
że Włoch Lully nie był francuskim
muzikiem! To byłoby równie po-
cieszne jak takiż sąd o Ronsardzie.

Tak tedy nasz „nacjonalizm” za-
wsze był łagodzony swoistym in-
ternacjonalizmem. Równowaga tych
dwóch prądów aż do ostatnich dni
nie znajdowała należytego wyjaś-
nienia. Odkąd jednak wypowiedzieli
się w tej materii komuniści —
widać doskonale jak współdzia-
ła w polityce czynnik narodowy
z międzynarodowym. Stronictwo
Maurice’a Thorez z pewnością nie
uprawia ksenofobii w dziedzinie
sztuki — kiedy urodzeni na obczy-
źnie artyści pomnażają chwałę na-
szego kraju; albo wręcz, powtórz-
my: jego wielkość.

Warto też zastanowić się nad na-
rodowym charakterem czynników
wielkości francuskiej.

Powiedziałem, że Cyd stał się wi-
dowiskiem popularnym. To fakt
dowodzący, iż uzasadniona jest te-
oria dziedziczenia kultury. Nieraz
spotykamy towarzyszy, którzy
mniemają, że prowadzą walkę kla-
sową, gdy się odrzekają od Balzac’a
czy Stendhal’a, Racine’a albo Cor-
neille’a... itd., a nie widzą, że w
ten sposób obdarowują wroga tym
co stanowi własność ludu.

Weźmy na przykład Racine’a. O-
tóż znam sporo ludzi inteligentnych,
którzy są przekonani, którzy świe-
cie wierzą, że skreślenie go jest
wyrazem wierności ich ideologii.
I pomyśleć, że pod koniec życia Ra-
cine’a przyczyną nielaski, takiej
stał się ofiarą i zapomnienia, jakie
nań spadło był fakt, iż powążył się
on ująć za krzywdy wycieczonego
szeregiem wojen ludu — czego mu
nie wybaczył Ludwik XIV! To tak-
że szczegół nie figurujący w pod-
ręcznikach historii literatury, ale
znajdujemy go w pamiętnikach sy-
na poety: Ludwika Racine. I acz-
kolwiek Berenice to królowa a Mi-
trydates — król, w greckich czy
rzymskich tragediach Racine’a wię-
cej jest Francji, a więc jej ludu, ni-
żeli w niejednej populistycznej po-
wieści wczorajszej lub dzisiejszej
doby. Czy to nie „Uśmiech” z ka-
tedry w Reims trwa w owym wier-
szowanym liście, jaki około roku
1662 młody poeta pisał z Uzès do
swoego kuzyna Vitart:

*I od dni waszych nasze noce są
piękniejsze.*

Albo w owym słynnym:

*światło nie jest przejrzyście niż
dno serca mego.*

Nie, nie uwierzę, aby to nie było
własnością ludu Joanny i Danie-
li, stolarza z przedmieścia Saint-
Antoine, kamieniarza z Burgundii
czy koronczarki z Artois. Owszem,
w większej mierze niżeli tych, co
się uważają za dziedziców Króla-
Słońca a Pałec Wersalski wysta-
wiają na zebrzy.

Gdy tylko tknąć się tego tematu
— tyle jest do powiedzenia, że
człek się gubi. Moim zamiarem było
jedynie przywrócić wiarę we
własny kraj tym, którym się Bóg
wie czym nabija głowy. Najważ-
niejsze — zwracam się do tych, co
są młodzi i jeszcze rozumieją sens
tego czasownika — najważniejsze
to: kochać... nie obawiać się śmie-
szości i rzetelnie się radować
Francją, tym co jest nam bezpo-
średnio wyczuwalne, krewne, spie-
wne...

Wypada się też powołać na za-
granice, boć ostatecznie nie może-
my przemilczać o tym, jak to obcy
przyjmują naszych. I rzecz prosta,
skoro stamtąd wracam, myślę o
Związku Radzieckim, gdzie spo-
ród autorów nie-rosyjskich naj-
więcej czytany jest — w siedmiu
milionach egzemplarzy — Wiktor
Hugo, a następni z kolei Maupas-
sant i Jules Verne wyprowadzają
wszystkich pisarzy świata. Wiem z
doświadczenia jak wszędzie bywa
wityny Francuz — ze względu na
Rabelais’go i Wiktora Hugo, na Di-
derot’a i Anatola France’a, na Vol-
taire’a i Barbusse’a czy Rollanda...

Takich rzeczy nie należy opowia-
dać z akcentem pychy lecz z
wdzięcznością. Z wdzięcznością dla
Francji oraz dla tych, co ją kocha-
ją, co ją pojmują. Pojmują jej lud.
I wspólną przyszłość świata.

Przełożył
Gabriel Karski
Artykuł Aragona przedrukujemy z
niezmiennymi skrótami z „La Nouvelle
Critique”.

SEWERYN POLLAK

Zanim w pocie zabrzmią wiersze,
Długo się musi w sobie łamać,
Aby nie skrzywić i nie skłamać
Tego, co proste, co najpierwsze.

I w trudnej walce z swym nawykiem
Kształtować myśl zaleniwiłą,
By to, co wewnątrz drga brzęczykiem,
Dźwiękiem i treścią się stawało.

By wypowiedzieć treść prawdziwą
Pozbywszy się samocenzury,
Co dłoń poety ustępliwą
Prowadzi wyznaczoną z góry

Drogą szeroką, asfaltową —
Tak nie wywiedzie wiersza z domu.
Raczej mu zdusić gładkie słowo
Skłamane nie wiadomo komu,

Skłamane nie wiadomo po co,
By ładne było i „typowe”.
Gdzież te zwątpienia, które nocą
Bezsenną rozpałały głowę?

Gdzie trudne myśli — błędne może,
Lecz ważne w swym nierozstrzygnięciu,
O nie się przede wszystkim trwożę,
Aby nie zmarły już w poczęciu,

Aby czytelnik słów wiązanych
— Dla niego przecież wiersz się pisze —
Wiedział, że dotknął żywej rany,
Struny, która rozdziera ciszę.

Wiedział, że to są rzeczy pierwsze,
Niepowtarzalne w swym wzruszeniu,
I by pochylił się nad wierszem
W zdumieniu i w zastanowieniu.

Przed zjazdem pisarzy radzieckich

Jak wiadomo, na listopad bieżącego roku zwołany został II Ogólnozwiązkowy Zjazd Pisarzy Radzieckich. Pierwszy zjazd pisarzy radzieckich odbył się przed dwudziestą laty, w sierpniu 1934. Przemawiał na nim Gorki, formułując w swym znakomitym referacie — studium „O literaturze radzieckiej” — podstawowe założenia literatury realizmu socjalistycznego.

Dwadzieścia lat — to niemały szmat czasu. Tym bardziej, że chodzi o dwudziestolecie wielkich wydarzeń dziejowych. W ciągu tych dwudziestu lat literatura radziecka wiernie towarzyszyła swemu narodowi w trudzie i walce odzwierciedlając budowę nowego życia, kształtując świadomość nowego człowieka.

Pierwszy punkt porządku dziennego Zjazdu obejmuje referat „O stanie i zadaniach literatury radzieckiej”, przy czym obok referatu głównego przewidziane są konferaty działowe (o prozie, o poezji, dramaturgii, krytyce itd.).

Punkt drugi poświęcony jest referatowi o współczesnej postępowej literaturze świata. Pozostałe punkty — sprawom organizacyjnym.

Plenum Zarządu Głównego Związku Pisarzy Radzieckich, podejmując uchwałę o zwołaniu Zjazdu, wzywało prasę literacką do szerokiej dyskusji przedjazdowej, poświęconej aktualnym problemom literatury i życia literackiego. Dyskusję tę zainaugurowała „obszerny” artykuł redakcyjny „Literaturnaja Gazieta” (Nr 40 z 3 kwietnia br.).

Na II Zjazd Związek Pisarzy Radzieckich przychodził zwały i okrzepły ideowo i organizacyjnie. Wzrosły liczebnie jego szeregi, literaturę zaopatrzyła liczna kadra utalentowanej młodzieży. Spód pióra wybitnych artystów słowa wyszedł niejeden utwór, będący pięknym pomnikiem artystycznym epoki.

Najważniejszym zadaniem Zjazdu będzie jednak nie tyle przegląd osiągnięć i sukcesów, lecz wnikiwa, wyczerpująca analiza stanu literatury radzieckiej, szerokie omówienie jej problematyki twórczej — pisze „Literaturnaja Gazieta”. Chodzi tu zarówno o analizę aktualnych zjawisk literackich, jak również o uchwycenie drogi rozwojowej literatury w ciągu ubiegłego dwudziestego lat, o wnikiwe zbadanie ogólnych tendencji rozwojowych literatury. Tak właśnie ujmował twórczość artystyczną Gorki w swoim referacie na I Zjeździe pisarzy.

Młoda literatura radziecka kontynuuje i rozwija doświadczenie klasyczny, stworzyła też i pomnaża własne tradycje. „Sukces twórczy — podkreśla „Literaturnaja Gazieta” — zawsze był udziałem tych pisarzy, którzy wierni byli prawdzie życia, wyznawali najbardziej przodujące idee swoich czasów, nigdy nie obniżali wymagań wobec swego warsztatu twórczego. Dzięki głębokiemu wnikiwemu w istotę procesów życia, dzięki odwadze pisarskiej, bezkompromisowości i gorącemu natchnieniu powstały książki nasycone tak ostrymi konfliktami, a przecież tak głęboko optymistyczne, jak „Zorany ugoń” i „Cichy Don”. To samo sprawiło, że autorzy potrafili w samej rzeczywistości odnaleźć takie charaktery, jak te, które cechują bohaterów powieści „Jak hartowała się stal” i „Młodej Gwardii”. Dzięki temu zdołał Twardowski wnieść się do uogólnionego obrazu życia narodu w dobie surowych doświadczeń — w „Wasiliju Tiorcinie”. Te momenty zdecydowały o pełni artystycznej, z jaką oddana jest siła i dramatyzm budownictwa socjalistycznego w sztukach Korniejczuka, Pogodina i szeregu innych pisarzy”.

„Ale Zjazd nie może i nie powinien być tylko uroczystą rewią zwycięstw i osiągnięć. Celem Zjazdu jest mobilizacja pisarzy do wytrwałej, twórczej pracy, do likwidacji istniejących braków i niedomagań. Sukcesy literatury nie powinny przesłaniać nam jej poważnych niedostatków”.

Nawiazuje do oceny XIX Zjazdu KPZR, który wskazał, że bogate, kipiące życie społeczeństwa radzieckiego twórczość niektórych pisarzy odzwierciedla bezbarwnie i szaro. „Literaturnaja Gazieta” przypomina po dziś dzień aktualne słowa Gorkiego na I Zjeździe pisarzy: „My wciąż jeszcze nie umiemy widzieć rzeczywistości”.

Wielu pisarzy, stroniących od najważniejszych tematów, przedstawiało wieś radziecką powierzchownie, nie szczerząc lakieru. Nie dostrzegali oni skomplikowanych procesów, jakie zachodziły na wsi radzieckiej, a które ujawniło wrześnie Plenum KC KPZR. „Pisarze ci nie potrafili rozstrząsać zadania ogromnej wagi: ukazywać afirmujący życie patos naszych czasów, a jednocześnie smagać ułomności, chorobliwe zjawiska; często przezwyciężając się oni z jednej kraciowatości w drugą: malują wszystko bądź to samą tylko różną, bądź to samą czarną farbą. A postaci literackie przy takim traktowaniu życia konstruuje się w sposób czysto spekulacyjny, a nie przez uogólnienie charakterystycznych cech żywych, współczesnych nam ludzi. W konsekwencji powstają książki szare, mierne, książki — jednolitowłók, odzwierciedlające cechy zewnętrzne dnia, ale nie ukazujące ducha czasu, nie odgrywające aktywnej wychowawczej roli, do której powołana jest literatura radziecka”.

W czym upatruje „Literaturnaja Gazieta” główny niedostatek, charakterystyczny dla wszystkich rodzajów literatury? W powierzchownym poznaniu złożonego i pełnego sprzeczności życia, w wąsności uogólnień artystycznych i słabości warsztatu pisarskiego, w braku umiejętności typizacji. „Dotyczy to współczesnej prozy, w której powierzchowne opisywactwo często zastępuje szerokie uogólnienia artystyczne, i twórczą odkrywczość. Dotyczy również poezji, w której wiele jest deklaracyjności, mało zaś silnych uczuć, która słabo odzwierciedla siłę ludzkich przeżyć. Dotyczy to także dramaturgii, która przez długi czas szczególnie cierpiała na „bezkonfliktowość” i do dziś dnia nie weszła na drogę wielkich tematów, która nie umie łączyć patosu krytyki z namiętną afirmacją tego co nowe, przodujące”.

Ostro ocenia też „Literaturnaja Gazieta” niedomagania krytyki radzieckiej, która „nie potrafi głęboko zastanawiać zjawisk sztuki z realnym życiem, nie umie dostrzec, jak prawda życia staje się dzięki artystycznemu ukształtowaniu prawdą sztuki”.

Omawiając problematykę organizacyjną Zjazdu „Literaturnaja Gazieta” podkreśla konieczność aktywizacji wszystkich pisarzy, ich czynnego udziału w życiu, twórczego włączenia się do realizacji wielkich zadań, jakie przed całym narodem radzieckim postawiła Partia. Pismo nie ukrywa, że nie mało jest jeszcze pisarzy oderwanych od życia, zamykających się w ciszy swoich gabinetów. „Pisarze jacy nader rzadko bywają w fabrykach, kołchozach, obracają się w ciętym kregu literackim, prowadzą gabinetowy tryb życia. Stąd jałowość twórcza, stąd wykończypowanie papierowe utwory. Głęboka słuszność mają ci towarzysze, którzy przemawiając na XV Plenum Związku Pisarzy Radzieckich zadali, aby delegaci na Zjazd przybyli na obrady z gęstocą życia, z ugorów, które mają być zorane, pod żywym wrażeniem spotkań i rozmów z ludźmi, pełni pomysłów twórczych podpowiedzianych przez samo życie”.

Dużą wagę przywiązuje również „Literaturnaja Gazieta” do drugiego punktu obrad Zjazdu: „Jest w tym głęboki sens, że Zjazd będzie omawiał problemy współczesnej postępowej literatury świata. Pisarze naszego kraju pilnie śledzą życie, walkę i pracę pisarzy zagranicznych, interesują się bardzo żywo sukcesami postępowej literatury całego świata... Na Zjazd zaproszeni zostaną liczni pisarze zagraniczni. Ziszcza się słowa Gorkiego, który przed dwudziestą laty dał wyraz nadziei, że „ozdobą II Zjazdu literatów radzieckich będą dziesiątki literatów Zachodu i Wschodu, literatów Chin, Indii...”

Polska społeczność literacka, która również przygotowuje się do ogólnonarodowego Zjazdu ZLP z żywym zainteresowaniem śledzić będzie przebieg dyskusji przedjazdowej naszych kolegów i towarzyszy radzieckich.

*

Niedawno odbył się XVIII Zjazd Komunistycznej Partii Ukrainy. Na Zjeździe poświęcono wiele uwagi sprawom literatury.

O nienadążaniu literatury za życiem mówił ostro Korniejczuk: „Dlaczego się tak stało, żeśmy wszyscy — twórcy aktyw literatury i sztuki — nawet w naszych najlepszych utworach nie odślonili głęboko, środkami artystycznymi, owych złożonych procesów życia, na które wskazał nam wszystkim KC KPZR na ostatnich plenarnych posiedzeniach? Stało się tak dlatego, że wiele mówimy o realizmie socjalistycznym, ale nie wnikiwamy w życie... My — pisarze, kompozytorzy, plastycy, aktorzy — łatwo zapominamy chlubne tradycje naszych wielkich klasyków, którzy, tak jak ryba nie może żyć bez wody, nie mogli sobie nawet wyobrazić twórczego życia bez stykania się z ludem. Nie mówię już o Szewczenko i Gogolu, ale nawet Turgieniew i Glinka mieli więcej styczności z ludem pracującym, chłopami, w ciągu roku, niż poniektórzy nasi pisarze przez dziesięć lat...”

Dalej wyśmiewa Korniejczuk jakże niestety częste wśród teoretyków i krytyków literatury spekulatywne i jałowe spory i dyskusje, sprowadzające się do dzielenia włosa na czworo, zamiast wysnuwania wniosków z realnego życia.

„Jakie są losy romantyki w realizmie socjalistycznym? — dyskutowali literaci, pracownicy sztuki. A nasza Partia ujawniła takie źródła energii ludowej, skierowała naszą wolę do walki o takie szczęśliwe życie ludzi radzieckich, żeby mogli oni smakować owoce socjalizmu nie kiedyś tam, lecz już dzisiaj. Na czele Partii 400 000 młodych chłopów i dziewcząt prosi, by ich wysłano na zagospodarowywanie ugorów i odłogów... Czyż można odmówić, jaki jest procent romantyzmu czy romantyki w sercach chłopów i dziewcząt, którym Partia przydała skrzydeł?”

Zjadliwie słowa Korniejczuka z pozytywnie dla siebie mógłby sobie i u nas wpisać do notatnika niejednen pisarz, teoretyk i krytyk.

PAWEŁ JASIEŃNICA

Mistrz, który nie bał się uczniów

Było to w maju 1953 roku. Jeden z asystentów profesora Ludwika Hirszfelda zaprowadził kręcącego się po Zakładzie Mikrobiologii literata do tak zwanego gmachu dydaktyki. Jest to budynek dawnej niemieckiej Kliniki Laryngologicznej, spalony podczas wojny całkowicie, obecnie odbudowany w postaci znacznie wspanialszej i przeznaczony na cele nauczania. Parter zajmuje hala ćwiczeń studenckich, wyżej jest ogromna sala wykładowa.

Kilku robotników pośpiesznie przecierało debowe okładziny i posadzkę metalowymi wiatrami. Czuli się na wargach cierpki smak drzewnego pyłu. — Nazajutrz miał się odbyć inauguracyjny wykład.

A za trzy lata — odezwał się asystent — będziemy tutaj świętować pięćdziesięciolecie pracy naukowej profesora. Zaprosimy i pana. I dopilnujemy, żeby się pan od pisania nie wykręcił.

Po upływie dziesięciu miesięcy, czyli w dniu 10 marca 1954 roku:

Ośmiu studentów niosących trumnę okrytą białą czerwonym sztandarem skłreca na prawo, na Plac Grunwaldzki. Przed nimi długi na paręset metrów, trójkąta Kolumna z wieńcami. Za nimi — żona zmarłego profesora, rodzina, minister zdrowia, delegacje i wielki, milczący tłum. Ulica Curie Skłodowskiej nie jest o wiele węższa od Placu Konstytucji w Warszawie. Wolno idąca ciżba zapelnia ją od ściany do ściany. Na rozległym jak dworskie błonie Placu Grunwaldzkiego, niby niskie, kolorowe mury sterzą szeregi zatrzymanych tramwajów. Obsługi ich oraz wielu pasażerów — na dachach.

Profesor Ludwik Hirszfeld zmarł w niedzielę, 7 marca 1954, o godzinie 3 nad ranem. Tego samego

kiedy się ma sześćdziesiąt dziewięć lat.

Choroba rozpoczęła się nagle, latem. Koniecznego zabiegu operacyjnego dokonano świetnie w Krakowie. W listopadzie już prawie nie znać było śladu przebytych cierpień. Profesor trochę schudł, był nieco mniej ruchliwy, ale jak zawsze olniewał połotem myśli, spał aforyzmami, paradoksmi — i rwał się do pracy. Zdawało się wtedy, żeлада dzień powróci do swego laboratorium. Odwiedził je, owszem, jeszcze za życia, ale tylko jeden raz.

Przez całą jesień i zimę przemawiał się bardzo kwestii podniesienia dotychczasowego Zakładu Mikrobiologii do godności Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej Polskiej Akademii Nauk, co ostatecznie nastąpiło równo na miesiąc przed śmiercią twórcy tej placówki naukowej. Kierowca zakładowej „Warszawy” miał obojętność co rano przywieźć profesora do mieszkanka całą korespondencję i wszystkie papiery dotyczące spraw bieżących.

Aż do ostatnich chwil profesor Hirszfeld nie rozstawał się ze swoim nowym planem. Chciał stworzyć międzynarodowe, wielojęzyczne czasopismo immunologów.

— Czy mi tylko sił wystarczy? — zwierzał się bliskim, wiedząc doskonale, że mu serce słabnie. — To wymaga dwóch lat wytężonej pracy.

Kilka tygodni temu podpisał profesor umowę, na mocy której zobowiązał się, wraz z jednym z asystentów, do czerwca 1955 roku napisać książkę o grupach krwi. Ludwik Hirszfeld był największym na świecie znawcą tego niezmierzonego skomplikowanego zagadnienia.

ALEKSANDER ZIEMNY

Początek

Tu dzień był ciemny od pleśni,
a noc pustynna i dzika.
Mówią, że dabeł odwracał
oczy, gdy tedy przemyskał.
Kto w porę nie zdążył uciec,
o tym już wieść wszelka szczyła:
myśl mchem porosła podlaskim
i ręce ogarnął bezwład.

Zdawało się: nie ma mocy
co głazów odepchnie stertę,
by strumień ożywczy wdarł się
w jałowy, bezpłodny wertep.
Czyż śmiałość pierwszego kroku
dojrzeć w cieniu, przez wieki?...

Nie! Kłóży dziś błędził wzrokiem
za słódne góry i rzeki!

Ej, dosyć tu jeszcze na pewno
podają różnego zamętu
ludzie w saperskich cholewach
i sztywnych kapoćach z brezentu.
Kraję wśród domów zapadłych
niczym borsucie kryjówki
Inżynier. Notuje, sięga
do swojej torby — polówek.

Stąd ruszył w świat. Chwast i oset
pokuliły chłopotną pamięć.
Więc teraz myśli o kwiatkach:
jakby umieścić je w planie?
By oprócz tuszem kreślonych
linii, umownych znaków
należał też grządkli rezedy
i nawet domek dla szpaków...
Chyba rozważał postulat
tam, na warszawskich wyżynach
gdzie w ogniu sztabowych narad
kiełkuje miasto — kombinat.

Jest cisza. Nie wróżą przełomu
ogniste na niebie znaki.
Lecz czuje się z drgań telegrafu
że cisza to przed atakiem.
Już godzin ubywa do chwili
gdy pęknie zmurszała bariera
i lmię Zambrowa zadzwierzy
jak hasło upartych pionierów!

dnia otwarta trumna umieszczona została w jego własnym gabinecie dyrektora Instytutu, przy ulicy Chałubińskiego. Przez resztę niedzieli, poniedziałek, wtorek i jeszcze w samym dniu pogrzebu bez przerwy przesuwały się wtedy tysiące wrocławian oraz ludzi przybyłych z innych miast Polski.

Trzeba jeszcze na chwilę powrócić do wspomnień z maja 1953 roku.

Pewnego dnia tak się tutaj złożyło: od wczesnego rana trwała normalna, to znaczy intensywna i wyczerpująca praca w laboratoriach. Zaraz potem cotygodniowe zebranie robocze Działu Immunologii Ogólnej. Następnie — czterdzięci pięć minut przerwy na obiad i aż do późna w nocy posiedzenie Towarzystwa Lekarskiego, w czasie którego omawiano trudny problem przeszczepów.

Nazajutrz przypadkowy rozmówca nieśmiało zagadnął profesora czy to dobrze tak pracować po czterech godzinach na dobę.

— Cóż pan chce? — usłyszał w odpowiedzi. — Trzeba się spieszyć,

*) Nauka o zjawiskach odpornościowych organizmu.

pewnego czasu zorganizowane były nocne dyżury pielęgniarek przy chorym.

Około godziny 2 nad ranem profesor się obudził.

— Miałem dziwny sen — oświadczył. — Że cały świat się zmienił, że wszystko się przeobraziło...

— Niech pan śpi, niech pan śpi. Jutro mi pan opowie — odpowiedziała pielęgniarka, która wiedziała, że profesor łatwo wybija się ze snu i potem bywa bardzo zmęczony.

— Ale wierzę, że ludzie jeszcze będą lepsi — wyrzekł chory, ponownie zasypiając.

W godzinę później usiadł na posłaniu, krzyknął i upadł na wznak. Nastąpił zawał serca i koniec.

*

Zanim kondukt pogrzebowy ruszył w drogę na cmentarz św. Wawrzynca, była publicznie mowa o tym, jak n i e należy rozumieć rzeczownika, zamykającego poprzednie zdanie.

Najbliżsi współpracownicy i uczniowie zmarłego profesora ustawili trumnę na wysokim, czarnym podium przed szczytową ścianą Instytutu. Naprzeciwko, oddzielona szerokością jezdni, stała trybuna dla mówców rozpoczynającego się wiecu żałobnego.

Jako pierwszy zabrał głos minister Jerzy Sztachelski, który zobowiązał całokształt naukowego dorobku Ludwika Hirszfelda, nie pomijając żadnego z jego licznych odkryć. Potem wchodzili na trybunę przedstawiciele instytucji naukowych i społecznych, uniwersytetów i młodzieży. Przemawiał także rektor Stanisław Kulczyński.

Istnieje — powiedział *) — materializm płytki i wulgarny, który ciągle powtarza, że śmierć unicestwia każde życie, przerywa i niszczy najbardziej cenną pracę. Istnieje jednak inny jeszcze materializm, taki, który uczy dialektycznie ujmować i rozumieć zjawiska. I ten nam powiada, że śmierć jest bardzo słabym trybutem składanym przez człowieka otoczeniu. O ileż silniejszy bywa trwały wpływ życia ludzkiego na otoczenie.

Wielka prawda. Bo ostatecznie czym była śmierć starego człowieka, który się nazywał Ludwik Pasteur, w porównaniu z niezniszczalną potęgą dzieł jego świadomości?

Nazajutrz po pogrzebie, w znanej nam już sali wykładowej, odbyło się ogólne zebranie wszystkich pracowników Instytutu. Białe ubrane postacie zapelnily rozległy amfiteatr — ludzie przyszli prosto od roboty, z laboratoriów. Docent pełniący obowiązki dyrektora zawiadomił zgromadzonych o wynikach dopiero co zakończzonego posiedzenia rady kierowników poszczególnych działów. Okazało się, że istnieje całkowita możliwość kontynuowania wszystkich prac, rozpoczętych za życia profesora. Poczynione dawniej zobowiązania naukowe zostaną w pełni wykonane, dla uczczenia pamięci zmarłego pozwolę jeszcze zostana dodatkowe.

(Nie utraciła też mocy umowa co do książki o grupach krwi. Napisał ją wdowa po Ludwiku Hirszfeldzie, korzystając z pomocy wspomnianego poprzednio asystenta. Zmarły pozostawił liczne papiery i materiały, w których zawarta jest suma jego olbrzymiej wiedzy).

Nie ma sposobu opowiedzenia w tym artykule jakie to mianowicie prace kontynuowane będą wczterdziestu i jednej specjalistycznych oraz piętnastu pomocniczych pracowników Instytutu, który dziewięć lat temu w ogóle jeszcze nie istniał. Wylizanie tematów i problemów byłoby czynnością zupełnie jałową, bo najważniejsza jest zawsze głębia zagadnień, ich teoretyczne i społeczne konsekwencje.

Można natomiast wiele się dowiedzieć i nauczyć nie wychodząc z tej sali, na której ławach zasiada w tej chwili stu przeszło towarzyszy ostatnich lat pracy naukowej Ludwika Hirszfelda.

Podczas okupacji profesor napisał dzieło pt. „Immunologia ogólna”. Wstęp do tej książki zawiera m. in. takie słowa:

„Zdobycie uczniów i stworzenie szkoły było moją drugą namietnością. Włożyłem w to dużo energii i miałem stosunkowo wielu uczniów. Szczyciłem się tym... Niewiele jednak z moich uczniów dochowało wiary zapoczątkowanej pracy. Jednych życie zmusiło do pracy zbliżonej ale raczej opisowej, niż bliższej mi, doświadczalnej, innych do pracy organizacyjnej lub terenowej. Wielu musiało porzucić pracę laboratoryjną. Wreszcie niektórzy w rozkwicie swojej pracy umarli, a nawet w sposób okrutny zostali zgładzeni, nim poznali urok pracy twórczej. Niewiele pozostało kontynuatorami mojego kierunku, nosicielami moich problemów. Nie wiem czy to była wina niewystarczającego rozmachu moich przesłanek naukowych, czy wina okresu lub warunków. Myślę jednak, że wielki rozmach przełamany by opory epoki, i dlatego skłonny jestem — smutne wyznanie po tylu latach — przyjąć winę na siebie”.

Wyznanie to datuje się z czasów okupacji. W kilka lat później, w

*) Zreferowane z pamięci nie dosłownie.

odczytacie pt. „Psychologia pracy dydaktycznej”, raz jeszcze wypowiedział się profesor na temat swojej wielkiej „namietności”:

„Stała się rzeczą wówczas mało prawdopodobną: zostałem przy życiu. Więcej — jest mi dane w pełni zaspokoje moje dążenia i moją tęsknotę, której dałem wyraz w chwilach niedoli”.

Nauczycielem profesora Hirszfelda był wielki uczony Emil v. Dungen, który — jeszcze w pełni sił twórczych — zerwał z nauką, odgrodził się od życia społecznego i zamknął w samotni.

„Jestem dzisiaj w wieku — mówił profesor Hirszfeld we wspomnianym odczycie — w którym Dungen już od piętnastu lat żył samotnie, oderwany od życia, zapamiętany w piękno jeziora Bodeńskiego. Dużo przeżyłem i dużo przecierpiałem. Ale otacza mnie grono moich uczniów i współpracowników i wspólnym wysiłkiem tworzymy dzieło, do którego dąży każdy uczony, budujemy Instytut, w którym i my i przyszłe pokolenia będą mogli pracować... Profesor Dungen był moim nauczycielem. Z najlepszą wdzięcznością wspominałem chwile z nim spędzone. Ale jednak pragnąłbym przeciwstawić samotności jego jesienną pełnię mojej, którą zawdzięczam w pierwszym linii pracy dydaktycznej... brak kontaktu z młodzieżą izolował go. Pozostał on z sobą, nie włączył się w wielki nurt życia społecznego”.

— Nie trzeba się bać własnego ucznia — powiedział raz profesor Hirszfeld, a widząc zdumienie słuchacza pośpieszył z wyjaśnieniem: — Trzeba żyć z myślą, że uczeń przejdzie mistrze, że tak jest dobrze i tak być powinno. Instytut duchowego ojca powinien być silniejszy od instynktu posiadacza idei.

— Zasadam tymi — mówił — kierowałem się w przeszłości i one zdążyły egzaminować przy budowie Zakładu Mikrobiologii w naszej nowej rzeczywistości. Jedyną zasługą naszej pracy stał się o wiele większy. Obecnie zaistniały możliwości kadrowe bez porównania większe niż w przeszłości i dlatego wpływ życia ludzkiego na otoczenie.

Życie udzieliło więc wyczerpującej odpowiedzi na pytania, które podczas okupacji dręczyły wielkiego uczonego. Niesłusznie poczuwał się on do odpowiedzialności za to, co było winą oplakanych warunków historycznych.

Spójrzmy po tej wielkiej sali, świecącej białością ścian i jasnym dębem okładzin.

Docent, który pełni obecnie obowiązki dyrektora Instytutu i przewodniczy obradom ma około trzydziestu trzech lat (i bardzo poważny dorobek naukowy). Spośród jego kolegów w tym samym, dokterskim, stopniu tylko dwóch czy trzech jest starszych. Pozatem — dwudziestokilkuletni lekarze i magistrzy biologii oraz najmłodszą, studencka generacja stałych pracowników Instytutu.

Na jednej z najwyższych półoknych ław amfiteatru siedzi młodziutki student medycyny. Wczoraj otwierał kondukt pogrzebowy, niosąc oznaczenia zmarłego — na czarnym tle poduszki jaskrawo czerwieniwały wstęgi Komandorii Orderu Polski Odrodzonej.

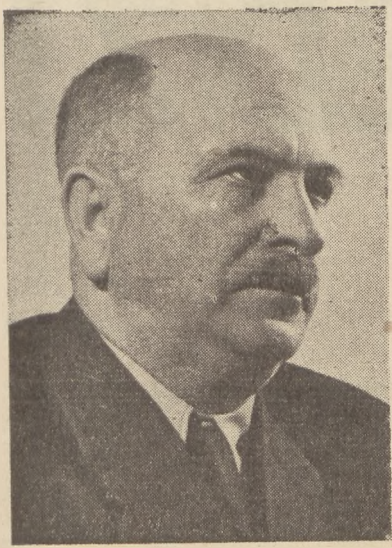
W zeszłym roku ten młody człowiek miał okazję opowiedzenia, w jaki sposób dostał się na stałe do Instytutu. Oto jego relacja:

— Przyszedłem na egzamin... aha, zapomniałem jeszcze powiedzieć, że profesor lubi egzaminować. Więc jak tylko wszedłem do jego gabinetu zaraz popatrzył na mnie uważnie i powiedział: „Przecież ty już zdawałeś, moje dziecko”. — Nie, panie profesorze, ja dopiero pierwszy raz. — „Nie? To poczekaj, skąd ja ciebie tak dobrze znam? A, już wiem, to ty zawsze siedziałeś w drugiej ławce, po lewej stronie. Moje dziecko, to ty na pewno wszystko doskonale umiesz, jeżeli tak pilnie chodzisz na wykłady. Z czegośbyś chciał odpowiadać?”. — Powiedziałem, że z patologii ciąży. I zaraz po egzaminie zapytał mnie: „A nie chciałbyś zacząć pracować naukowo? Tak? No, to przyjdź jutro do Zakładu”. Kiedy się zjawiłem wziął mnie za rękę i poprowadził. Jak tylko zobaczył mnie kierownik najbliższego laboratorium, od razu powiedział: „O, bardzo dobrze, akurat potrzebny jeszcze jeden pracownik”. Ale profesor nie zostawił mnie u niego: „Poczekaj, moje dziecko — odpowiedział mi — gdzie indziej także ludzi potrzeba”. I natychmiast, o nic nie pytając, zaprowadził mnie akurat tam, gdzie chciałem pracować.

Ten młody człowiek, wspólnie z koleżanką, kontynuuje obecnie dawne, jeszcze przedwojenne badania profesora Hirszfelda nad przypuszczalnymi „mechanizmami obronnymi”, które hamują w organizmie ludzkim postępy raka, a które należy wykryć i wspomóc. W tej chwili zaś, razem z setką współtowarzyszy, zobowiązuje się dalej prowadzić i rozwijać idee oraz prace niezwykłego mistrza.

Paweł Jasienica

Ankieta „Nowej Kultury”

Pisarze wobec dziesięciolecia
WŁADYSŁAW KOWAŁSKI

Prosił się o wypowiedź „pisarza wobec dziesięciolecia”, o sobie lub „o zagadnieniach pisarstwa”.

O sobie to chyba tyle mogę powiedzieć, że zajmowałem się nie pisarstwem (i to dość długo), nie mogłem więc popełnić błędów, jak inni koledzy, którzy pisali. „Wykoleiłem się” z pracy pi-

sarskiej, a powrót do niej, po długiej przerwie, jak sami o tym dobrze wicie, nie jest taki łatwy. Trzeba się „przebudować”. Próbuję to zrobić. Piszę w miarę możliwości.

Nie jestem krytykiem, ale jeśli chodzi o naszą literaturę w okresie dziesięciolecia, to można by do niej zastosować uwagi mojego sąsiada, Antoniego Lisiaka, jakie wypowiedział on o malarstwie i to dość dawno, bodajże w 1921 r. Po załatwieniu spraw wólczyliński się obaj po Warszawie i oto trafiliśmy na „Zachętę”. Obaj nie mieliśmy pojęcia, co to takiego jest ta „Zachęta”, ale przeczytaliśmy wielki napis: „Wystawa Obrazów”. Obrazów? Lisiak nie wierzył księżom, lecz wierzył w Boga. „Wejdźmy” — rzekł. Weszliśmy. Po obejrzeniu pierwszej sali, Lisiak rzekł: „To widać tutaj kramarze kupują te malowidła, co wożą po jarmarkach”. Ale nareszcie w drugiej sali zatrzymał się i wpatrzył w niedużych rozmiarów obrazek. „To to ta droga od Bujal do Świętego Rocha. Piach jest na drodze i pola akuratne. Tylko tam przy drodze rośnie jarzębina, a tu brzoza, ale podobne do prawdziwych”. Ani nam do głowy nie przyszło zobaczyć,

kto ten obraz malował. Po co? Poszliśmy dalej. Wreszcie w jednej z sal Lisiak wybałuszył oczy i otworzył usta. Obraz przedstawiał zapewne średniowiecze. Może to był Rzym, a twórcą obrazu od wieków leżał w grobie? Nie wiem, bo i tu nie zainteresowaliśmy się twórcą dzieła, jako że nam to „do niczego nie było potrzebne”. Ale staliśmy długo przed tym płótnem. Mój sąsiad zupełnie oniemiał. Gdy wreszcie dość się napatrzył, rzekł: „Jak on to zrobił, że w tych latarniach ogień się świeci, a ludzie idą. Bo przecież naprawdę świeci się, a ludzie idą. Widzę, że idą, choć niby są namalowani”.

W literaturze naszego dziesięciolecia wiele jest takich obrazów jak ta droga „od Bujal do Świętego Rocha”. Ale takich latarni, które by świeciły, i ludzi, którzy by szli, choć są tylko „napisani”, nie ma. Jak się nazywa to dzieło, do którego chciałoby się jeszcze raz powrócić po przeczytaniu? Ja takiej książki widać nie umiem. We wszystkim widać powierzchowność i jakiś pospiech. Jeśli mówi się o wojnie, pisarz opowiada jak świeższą kulę, ale nie widać wojny. Nie widać ludzi, choć tyle słów o ludziach. Książka nie bez talentu napisana,

lecz coś z tego, kiedy ludzie „nie idą”. A jeśli rozmawiają, to dziwne nie mają z sobą o czym mówić. Mówią banały.

Kiedys przed wojną, zapytano mnie w środowisku literackim, dlaczego to chłopci i robotnicy wolać czytać książki o hrabiach, niż o sobie. Powtórzę moją odpowiedź: „Bo pisze się o nich nieprawdę, splota się opowiadanie o nich, uważa się, że są zbyt głupi, aby mogli myśleć na poziomie. I daje się im do czytania o nich szmirę, a ich to mierzi”.

Świadomie. czy podświadomie niewątpliwie wśród pisarzy dotąd jeszcze pokutuje wątpliwość, czy w usta robotnika lub chłopca można włożyć te same słowa do wypowiedzenia których niejako predystynowane były tylko tak zwane „warstwy oświecone”. Czy aby nie za „bogato” będzie ów robotnik lub chłop mawiał. Stąd konieczność dopasowania treści do poziomu opisywanych robotników lub chłopów, a z tego ubóstwa ich mowy rodzi się z kolei ubóstwo formy artystycznej, a więc i wartości dzieła.

Przed wojną napisał Hulka-Łaskowski: „Trzeba mieć nie lada ta-

lent, aby napisać tysiąc stron i żeby nic nie było napisane”. Gdy otrzymałem Wasz list z prośbą o wypowiedź na tematy literackie, długo zastanawiałem się nad tym. Próbowałem uprzytomnić sobie jakiś obraz albo jakieś odkrywcze powiedzenie, jakiś głęboki dialog między ludźmi. Nic takiego w głowie mi nie utkwiło z tego, co przeczytałem, a na co można by się było powołać i do czego powrócić. Robotnicy i chłopci mówią tak jak ktoś przysięgnie, nawet tam, gdzie chodzi o rzeczy wielkie. I nieraz po przeczytaniu książki myślałem o tym, czy nie gra tu u pisarza ten świadomy lub podświadomy kompleks o niższości mas?

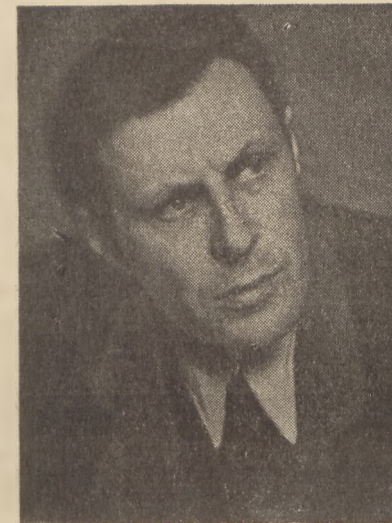
Ale pisarz, uważając na te prymitywne zakrety, ma być może obawę i przed naszą krytyką, z którą w Polsce nigdy nie było dobrze a obecnie również jest źle. Czy nie skrytykować by go za zbyt mądre zdania włożone w usta robotników lub chłopów? Kto wie? Tak już bywało. Krytyk nasz nie jest jeszcze wolny od poglądu na poziom opisywanego środowiska. Co to jest jeśli nie naturalizm?

Zadaniem pisarza jest odzwierciedlenie epoki, a tego można do-

konać przez stworzenie postaci, która wyrasta ponad środowisko. Po to, aby to środowisko podnosić do poziomu stworzonego bohatera. Wyznaczać robotnikom lub chłopom tylko rolę robotów, a nie wychowywać swego otoczenia, swej klasy, kazać im się krzątać tylko koło maszyn, którym nie raz wyznacza się rolę główną, jak również chłopu na roli, a przy tym kazać im mówić „według stanu”, to nie podnoszenie, lecz obniżanie ich poziomu. Ta rola li tylko zapobiegliwego robotnika wywołuje może zniecierpliwienie u czytelników. A przecież klasa robotnicza i chłopci dzierżą obecnie władzę w Polsce, co wywołuje w nich słuszną dumę i tą miarą trzeba ich mierzyć. To nie tylko roboty, to również politycy, twórcy nowej rzeczywistości i nowej kultury. Tego dotąd u nas w literaturze nie ma. I obawiam się, że prócz braku głębokiej znajomości życia mas, ów nieprzewidywany kompleks niższości mas oraz strach przed krytyką, co ona powie na mądrość bohaterów z mas, odgrywa również swoją rolę w owej drobiazgowości, a często nieporadności literatury naszego dziesięciolecia.

Władysław Kowalski

TADEUSZ BREZA



Już od paru tygodni leży na moim biurku list z „Nowej Kultury” w sprawie tej ankiety. Piszę teraz dłuższe opowiadanie, mające stanowić parę do niedawno wydanego opowiadania morskiego pt. „Jokimokk”, ale przecież nie piszę bez przerwy. I z pewnością nie to dłuższe opowiadanie jest przyczyną, że z odpowiedzią zwlekam. Ani również nie jest przyczyną mego kunktatorstwa, by sprawa ankiety nie leżała mi na sercu. Leży mi ona bardzo na sercu, a nawet — mogę powiedzieć — że mi na sercu ciąży. Nie obojętność więc w stosunku do zadanych mi przez „Nową Kulturę” pytań, lecz przejęcie się nimi tak mnie obezwładnia. Człom tematu mnie trwoży. Myślę na raz o tych paru książkach, które w tym okresie wydalem. Myślę o procesach, które we mnie zaszły, myślę o walkach, które toczyłem z sobą. Myślę o krytykach i walkach, które toczyły ze mną.

Dumne to jest słowo — walka! A w tym kontekście może nawet użyte nie bez pewnej przesady. Ale nie bez jakiejś bardzo podstawowej słuszności zarazem. Jestem pisarzem i to mnie określa przede wszystkim. To usprawiedliwia miejsce na ziemi, które wśród ludzi zajmuję. Nigdy w zakresie tej swojej roli, tej swojej pracy nie byłem lekkomyślny. Skoro więc sprawę swej twórczości brałem tak poważnie, oczywiście to chyba było i całkiem ludzkie, że jeśli zrozumiałem jakiś swój błąd twórczy, gryzłem się nim tak, jak gdyby zakwestionowany został sam sens mego istnienia. A jeśli mi błąd nie popełnił, bronilem się nie w ten sposób, jak gdyby się bronił przed krytyką czy zarzutami, lecz przed jakimś podstawowym zagrożeniem. Jeśli więc teraz mówię o walkach wewnętrznych i o walkach z innymi, a nie stosuję tu słowa skromniejszego, nie powiadam na przykład — polczyka czy też — starcie, to czynię to z tych właśnie względów. Przez owe dziesięć lat napisałem sporo. Nakłóciłem się, nadyskutowałem, nagadałem publicznie i prywatnie — setki razy tyle. A nagryzłem, nałamałem, naszumiałem w sobie o całej tysiące razy więcej.

A przecież powyższa moja podobna z tych lat zaledwie częściowo odpowiadałaby prawdzie pozabawiona szerszego, a ściślej — trzeba rzec — szerokiego tła. Powiedzieć jeszcze nawet — historycznego. Skoncentrowany na swych książkach, zajęty zagadnieniami swego pisania byłem zawsze, ale nie na tyle co Archimedes z Syrakuz swą geometrią, ten co zawałot do żołnierza z armii rzymskiej, która pobiła jego miasto: — „Nie waż się pść moich kreteń”. Ja z Warszawy spalanej dziesięć lat temu bez mała wychodziłem ścisłając pod pachą za cały majątek parę zeszytów z brulionami „Mu-

rów Jerycha” oraz „Nieba i Ziemi”. Ale wtenczas, chociaż zeszyty z tym swoim piśmieniem ścisłałem mocno, gdyby mi żołnierz w zielonym mundurze z trupa głową na czapie próbował je zabrać, nie zamknąłbym swych uczuć w prostym okrzyku: — „Noli turbare circulos meos!” Pałaca się Warszawa podczas długich powstańskich tygodni była tym, com przeszedł w życiu najboleśniejszego. Ani Wrzesień, ani okupacja tak mnie nie zmogły, jak te pożary, jak ta ruina. Wrzesień był wojną, a wojna mieściła się całkowicie w moich pojęciach. Nawet mieściło się i to w moich pojęciach ukształtowanych na różnych lekturach historycznych, że pogrom nastąpił z tą samą błyskawicą, z jaką Napoleon I pokonał pyszne Prusy Fryderyka Wilhelma III. Nie mieściły się w moich pojęciach tak pochopnych do analogii historycznych obojętne koncentracje, ale nie otarłem się o nie. Ani słuchem, ani widzeniem, ani fizycznym cierpieniem własnym. Pozostawały w sferze potwornych, w sferze przerażających, ale — bądź co bądź — tylko w sferze pojęć.

A powstanie — widziałem. A powstanie ogarniałem wszystką pięćdziesiątą. Ulica, na której mnie przytulono, stała się pod koniec tych strasznych miesięcy samą już jedynie popiołem. Popiołem stały się drzewa. Popiołem stały się serca i mózgi ludzi, którzy te miesiące w mieście spopieliłom przeżyli. Pod tym popiołem, jeśli co się tliło, to tylko gorzyc i ból. W Ojowicie czy w Krakowie, gdzie po opuszczeniu Warszawy znalazłem oparcie, jeszcze przez nieskończone długie cięgi nocy budziłem się z sercem pełnym tej spalenizny. Już działałem, już funkcjonowałem, normalnie i — w życiu literackim przydatny, a nie mogłem się otrząsnąć. Dwadzieścia tysięcy ludzi zmarnowanych zostało przez powstanie! Ja z tych dwustu tysięcy sam widziałem kilkunast. Widziałem przed tym — żywych. Widziałem nawet takich, co i do dzisiaj może żyją! Widziałem pewnego ojca, po parę razy na dzień się na niego natykałem, bo przytulił się też na Mokotowie, gdzie przeszedłom powstanie. Zwykły był człowiek, zwyczajny, nic w sobie nie mający takiego — na to gotów byłbym wtedy przysiąc — o czym trzeba by czy można by pisać. Aż spotkałm się później w miejscowości podwarszawskiej, już kiedy powstanie wygasło. Los rzucił, że znowu znalazł mieszkanie w domu obok willi, gdzie się schroniłem. Przytulił mnie w południe, zgorączkowany świeżą, pierwszą wiadomością o synu, że ocalał. A wieczorem przyjechał przed jego dom wóz. W tym wozie przywieziono mu syna, oślepnęło na oboje oczu, bez obu rąk, i bez nogi.

Niechętnie wcielam się w bohaterów własnych książek. To znaczy — niechętnie wcielam się w nich w sposób bezpośredni, nie przekształcony. Ale w po-powstańskich stanach Andrzeja Uraszewicza z „Uczty” odnajduję siebie, odnajduję siebie w jego psychicznym stłumieniu, bierności, lunatyczności. Nie on jeden wyszedł z tej katastrofy porażony. Wyszedł z głową pełną czadu. Wyszedł z jakimś dziwnym magicznym pomysłem. Z jakimś podwzięciem się nerwowym. Wyszedł z zastraszeniem, mrocznym przekonaniem, że nad jego krajem zły, czarny los na wyznaczone po wsze czasy panowanie. Z mągiem w głowie — chciałoby się nieomal rzec — wróżbiarstwo — astrologiczne.

Ale póki człowiek naprawdę cierpi, póki odczuwa szczyry ból, póty nie jest jeszcze psychicznie stracony. Przy zastosowaniu tych kryteriów — ja nie byłem stracony. Ży-

wo, kurczowo, historycznie odczuwałem rzeczywistość wokół siebie. Pamiętałem nieustannie moje miasto, pamiętałem mój kraj z tych lat, kiedy go tak — w sposób z rozmachem przekreślający wszelkie możliwe dziejowe analogie — spoiniewierano. Popiół miałem jeszcze pod powiekami. A tu do Krakowa poczęli napływać ludzie w pasiakach. Żadnej ze spraw zasłyszanych nie mogłem zapomnieć. Wszystko było we mnie neurotycznie żywe. Nowe krzywdy wywoływały z mojej pamięci pamięć krzywd dawnych. A pamięć krzywd dawnych — pamięć krzywd historycznych. Rzecz obojętna przez kogo i kiedy nam zadanych.

W pracach na temat kwestii narodowej Józef Stalin nieraz wraca do zagadnienia szczególnej wrażliwości narodowej „ludów, które przeżyły ciężkie jarzmo ucisku narodowego i nie zdążyły jeszcze wyżyć się poczucia dawnych krzywd narodowych”. Takie ludy niełatwo „wyzwalały się od widma tego ucisku”. W tych słowach jest i mądrość i wielka światła ludzkość. Tłumaczą one niejedną fakt psychiczny. I ja sobie przy ich pomocy tłumaczę niejedno u siebie z epoki początkowej naszego dziesięciolecia. Rozum mój mówił mi już wówczas rzeczy całkiem niegłupie. Logika — całkiem logiczne. A wrażliwość i drażliwość podpowiadała swoje i swoje. Przyczyną tego były przede wszystkim straszne lata okupacji. Lata ohydne, ponad ludzkie pojęcie podłego sponiewierania. Człowiek przeważnie był na pewnych punktach. Wszystko zdawało mu się na nie dybać. Na nie czyhać. Im zagrozić. Chwała naszej i naszej narodowej dumie. Frontem więc człowiek ufał, a pokątnie destylował w sobie różnicę. Nieraz rzecz niewinna wydawała mu się crimen laesae maiestatis nationis. A często też rzeczy — mniej niewinne. Było się głupim jak tabaka w rogu. Nie znalazło się żadnych sposobów, by odróżnić linię generalną w tej kwestii od głupstw i niemadrych posunięć różnych nadgorliwców. Potknięcia więc wszelkie szły na konto linii generalnej. I znów walkom, kłótniom, dyskusjom nie było końca. Oraz zgrzytotom i gorczom psychicznym i różnym znikomom.

A tymczasem kraj w y z w o l o n y leczył rany. Dźwigał się, nabierał ciała. Przychodzili na człowieka pływające stad bezimienne wrzucenia. Pływające z dokonania. Z osiągnięciem odbudowy. Wrzucenia czyste, zapierające dech. Dumne, ludzkie wrzucenia. Z całym młotostwem narodu człowiek stał, dotykając stopą nowo położonych bruków ulicznych, oddychając powietrzem oczyszczonym zielenią nowo zasadzonych drzewek, ścąc oczy nowo wystawionymi budowlami. I aż tracił siły ze wzruszenia. Do tego stopnia, że na przykład musiał się czasami — tak było ze mną podczas otwarcia trasy W-Z — wesprzeć, by nie upaść. Wesprzeć o balustradę przed tunelem oddzielającą chodnik od jezdni. Też — rzecz prosta — o nowo założoną.

A po owym słynnym już dzisiaj, historycznym dniu otwarcia tej trasy ileż przeszło innych dat! Ile cudownych dokonani. Jak gdyby wykryty został sposób seryjnej produkcji cudów. A przecież porywające budownictwo wszelkiego typu to nie był jedyny dział tych cudowności. Przychodziły cuda z innych kategorii. Nasze polskie uczestnictwo w wielkich ofensywach pokojowych. W tych ofensywach wysuwających nas zawsze do pierwszej, głaskającej nasze ambicje narodowe, linii. Przychodziły cuda z dziedziny kulturowej. Wielkie ofensywy niweczne wszelkiego typu zacyfowania. Mój kącik, gdzie się

tak w głębi duszy troszczyłem o mój naród, o ten mój naród, który znalazłem od lat niezmiennie jednakowy, o ten mój naród ciemny, o ten mój naród w tak olbrzymiej masie bezrobotny, niedożywiony, niczego nie uczony, gdzieś się tak troszczył o to, czy jego majątek nie zostaje narażony na szwank, ten mój naród przez owe lata moich trosk poszedł nieomal ze ponad ludzkie pojęcie olbrzymim krokiem naprzód.

Naród szedł naprzód. Kraj potężniał, miasto odbudowywało się. A wszystko to dzięki jakiejś sile? Na początku niniejszej opowieści o dziesięcioleciu wydawało mi się wskazane rzucić moją figurkę z moimi książkami na tło miasta. Miasto — na tło kraju. A kraj? A kraj również na to, aby uchwycić w pełni rysy przemian, które w nim zachodziły, rzucić by należało na szersze tło. Na tło dalsze — na tło całego globu. A ściślej mówiąc — na tło mu bliższe — na tło jednej trzeciej tego globu. Oczywiście nie chodzi mi o ujęcie kwestii pod kątem geograficznym, ale pod kątem ideologicznym. Pod kątem przełomowej idei i tej przełomowej nauki, znanej mi od lat wielu, znanej pobieżnie, poważanej przeze mnie, w sposób jednak do niczego nie zobowiązujący.

W sprawie światopoglądu myślałem zawsze o sobie nie najgorzej. Byłem postępowy, byłem demokratyczny, byłem „sympatyzujący”. Przede wszystkim jednak byłem człowiekiem sztuki, z przekonań — niezłomny — o intelektualistach, to znaczy wyznającym zasadę, że racje ludzkie trzeba przede wszystkim rozumieć, sądzić zaś je można tylko z największymi ostrożnościami. Tymczasem jeden szereg „racji” podpalil świat, drugi — go ugasił. Okazało się, że w zwykłym pobratymstwie, w prostym sympatyzowaniu z tymi spod znaku tego drugiego szeregu w niechęci do tych pierwszych więcej było zdrowego sensu, niż w tym całym intelektualizowaniu. Sensu więcej, ale przez to bynajmniej nie więcej korzyści. Zaczęły się więc lektury, rewizje wewnętrzne, dyskusje. I ponownie — zmagania — i ponownie — walki z oporami intelektualnymi. Obiektywistycznymi. Logistycznymi.

Miałem za sobą z młodych lat studia nad Rudolfem Carnapem, bożkiem neopozytywistycznym z Wiener Kreisu. Miałem również — co już godziwsze — pracę magisterską z teorii poznania Dawida Hume’a. W nowych lekturach, które teraz gryzłem, znajdowałem całkiem inne ziarno. Niejednemu czytelnemu zdaniu wydawałem w sobie bitwę i — zdawało mi się — wygrywałem ją. Ale jedna strona złożona z takich zdań obracała w nieważne wszystkie moje, nawet tak wątpliwe przewagi. Rozdział kładł mnie na łopatki. Książka ścigała mnie z chmur, w których koziółkowałem, sprowadzała i stawiała na nogi. Nadając wszystkiemu nowy sens. W ludziach, we mnie i w świecie. Sens jedynie sensowny.

A przecież nie tylko czytałem. Praktykowałem — twórczo. Nie żyłem sam. Żyłem w pewnym określonym środowisku. Miałem swój zawód — literacki. Więc dużo przebywałem w środowisku literackim. A znowu to środowisko nie żyło wyosobnione, ale oblało się olbrzymie morze odbiorców pisanego słowa. Nie tylko pisarz opowiada się w swym akcie twórczym po tej czy po innej stronie barykady. W akcie odbiorczym, czytając, odbierając książkę czytelnik też się opowiada. Dawniej — słabiej. Dziś w akcie wzmożonej walki — z wielką siłą. W spotkaniach z pisarzem czytelnik naciska go, skazuje mu do oczu. Znowu stąd trudy. Znowu stąd — walki wewnętrzne. Problemy bombardujące człowieka za proble-

mami. Z lektur, z rozmów, z doświadczenia historycznego, przeżytego tak gruntownie, tak mocno wyłaniały się podstawowy kontur wielkiej prawdy. Ale zanim ta prawda zaczęła dźwigać twórcę w górę, niejedno jeszcze się dzieje. Przypominają się z lektur różne diabelsko niepokojące zdania. Zdania groźby. Zdania — aluzje. „Gdziekolwiek jawi się Luter, ginie cywilizacja” — powiada gorzko Erazm z Rotterdamu. „Ktokolwiek chce zlać się z masą, musi się przygotować, że poświeci w znacznej mierze swą prawdę i swą wiedzę, musi się przygotować na s a c r i f i c i u m i n t e l l e c t u s” — mówi zawsze tak dwuznaczny w swej filozofii i tak pogardliwy wobec ludu Jerzy Sorel. Czyli krótko rzecz wyrażając — kto z twórców chce pójść rewolucji na rękę, musi się niby pogodzić z obniżką swego twórczego lotu. Znowu więc olbrzymie wewnętrzne zmagania, aby pojąć ograniczoną mądrość tych cytów i ograniczony jej zasięg. Zmagania tym cięższe, że zastrzeżone najróżniejszymi głupstwami jednostek, które wobec pisarza pojawiają się z chęcią, by mu pomóc, a również często z najlepszymi rekomendacjami ideologicznymi, budzącymi jego całkowite zaufanie. Dużo z takiej próżnej meki, strat energii twórczej, straty czasu. Trzeba i przez to przejść. Trzeba i to minąć. Jak przez jeszcze jeden zasek. Naprzód. Wciąż naprzód.

A przecież zrozumienie teorii, to jeszcze nie wszystko dla twórcy. Tak jak nawet najlepszy roentgen to jeszcze nie dość malarzowi by namalował czyjś portret. Przeglądem, zrozumieniem jakiś pion zasadniczy spraw. Sprawy własnej, sprawy kraju, sprawy człowieka, sprawy sztuki. Piękna to rzecz — zrozumienie. Szkoła tylko, że mały z rozumie pisarzkowi pożytek bez materiału. Jakż to material? Zycie! To — wokół. Przebiega ono inaczej, niż to, wśród którego wyrastałem. Tak jak mój warsztat twórczy, podobnie wszelki warsztat pracy wszędzie się odmiennie. Wszystko jest inne. Mnóstwo nowych zjawisk. Psychologicznych, moralnych, biotechnicznych. Tak już wiele o tej kwestii pisano, że nie przeciągam dłużej mowy o niej. Tolstojowi wystarczyło, że wyglądał przez okno, a „surowiec” mu spacerował po parku czy pracował w polu, „surowiec”, którego uczucia i myśli przenikać było fraszka, ponieważ znane już się zdawały odwiecznie.

A dziś idziesz do ludzi, do tych, którzy ciękają cię najwięcej, do spółdzielni, do fabryki, do świetlicy. Wyczuwasz zucia nienazwane, myśli niezarysowane jeszcze precyzyjnie, wyczuwasz, zgadujesz, nie zgadujesz! Musisz sztukować wyobraźnia, kto wie, czy nie inaczej ukształtowana. Czynisz to nieśmiało. A czasem może przesadnie nieśmiało. Nadto nieśmiało. To pewne tylko, że czujesz się jakiś ubogi materiałowo. Ale przecież — jest to prawda ponad wszelką wątpliwość potwierdzana przykładami z literatury — n i e z a w s z e twórca opisywał rzeczy, które znalazł wśród których wzrastał od młodości. Poza sprawą znaną jest jeszcze sprawa intuicji. Sprawa podkórnie nie wiadomo jak i kiedy gromadzonego doświadczenia. Sprawa jakiegos sztukiowania różnych elementów widzianych rzeczy, z których powstaje obraz jakiejś rzeczywistości dobrej, a czasem doskonałej. Rzeczywistości, której na pozór tak niedostatecznie się wiedziało. Krew życia wlewa w utwór niekoniecznie doskonała znajomość szczegółów. Ale jakaś wola serca, umiłowanie, górne, z lotu ptaka widzenie sprawy. Pięknie rzekł Paweł z Tarsu, mówiąc — „Umieć ubogim być — i obfito-

wać”. Takim najpewniej trzeba nam być. Człowiek, istota ludzka, podobnie jak zawsze dotąd, tak samo i teraz będzie nadal bohaterem tytułowym naszej sztuki. A że jest nowy? A czy mi już także w dużym stopniu n o s t a l i s m y s i e n o w i e ? O tym pamiętajmy! To niech nam pomoże dostrzec do źródeł nowej siły w nas, abymy wreszcie zaczęli o b f i t o w a ć! Niech nam pomoże przejść ostatni etap, tych olbrzymich, mozołnych, morderczych niekiedy, ale przecież cudownych, błogosławionych transmutacji starego w nas w nowe. Przekształcenia starego warsztatu pisarskiego w nowy. Najważniejsza sprawa. Bynajmniej nie abstrakcyjna i czysto psychologiczna. Ale decydująca o tak realnej kwestii, jak ta, czy warsztat będzie produkował rzeczy mające swą wartość, czy — nie. Decydująca o tym, czy pisarz będzie z siebie dawał rzeczy — na swą miarę — ważne i potrzebne, czy też pójdzie na szmela.

*

Pisać rzeczy pożyteczne i z tą intencją, aby nie iść na szmela jest to ustawienie szanowne i czasem godne pochwały, ale jako program pisarski, jako program artystyczny jest to — a raczej coraz wyraźniej staje się — program minimum. Programem maksimum byłoby zupełnie co innego. Ujął tę sprawę najlepiej i najprościej niejaki Batmanow, jeden z bohaterów „Daleko od Moskwy”, powieści Wasilija Azajewa, powiadając o Puszkynie: — „Czyż rzeczywiście nie znajdują się ludzie, którzy równie genialnie (jak Puszkina w „Eugeniuszu Onieginie”) opisał nasze czasy? Nasze prawdziwe odziedziczą komunizm przez nas zbudowany, powinni więc zrozumieć nasze życie, wypełnione ustawiczną pracą i odpowiedzialnością wobec historii, bezinteresowne, bogate w swej istocie, choć czasem biedne w drobiazgach”. Tak, to jest program ambitny! Ambitny i godny lat, które idą. To rzecz oczywiście! Program w końcu osiągalny z różnych powodów, a przede wszystkim z tego powodu, że p r z y g o t o w a n y przez program minimum.

Poddawanie rewizji własnych środków, najróżniejsze formy kwantowania, ostryżowania i diet, w wielu przypadkach konkretnych nie-mądre, a nawet szkodliwe, w sumie kierowane było zdrowym rewolucyjnym instynktem przepatrzenia, przerewidowania wszystkich narzędzi, tak, aby uzyskać pewność, czy są celne, czy odpowiednie w odmiennych warunkach twórczych. A przecież nie ogranicza się cała sprawa tylko do narzędzi! Pisarz ujmuje świat, ludzi, zagadnienia w pewien swój, osobisty sposób. Ma swój gatunek odczuwania, swoje predylekcje, swoje kąty i kąciki widzenia. Wyraża nieraz swym piśmem dziesiątki rzeczy całkiem od-ruchowe, tak jak je przejął często, bóg sam jeden wie skąd. Olbrzymia praca weryfikacyjna musiała być dokonana. Od fundamentów po szczyt. Od samego motoru poczynając, na każdej, najmniejszej sprężynie twórczej kończąc.

A to przecież jeszcze nie wszystko. Pisarz rzucił swoje słowa na ekran odbiorczy. Ekran ten bywa albo mniej, albo więcej zapisana kartą. Kartą doświadczeń literackich, kartą odczytania, kartą literackiej kultury. Bywa jednak czasem kartą całkowicie białą. Właśnie niezapisaną. Myśmy musieli podać nasze narzędzia rewizji właśnie z myślą o takim typie karty (kranowej — niezapisanej)! Czyli mówiąc językiem innym, językiem wyuczajnym, językiem utartym —

(Dokończenie na str. 7)

JULIAN

DZIEDZI

AKT

JAN RĄCZYŃSKI — dyrektor fabryki
 WERONIKA — jego żona, lekarka
 ANNA — siostra Jana Rączyńskiego
 EWA " " "
 DANUTA — aktorka, siostra Jana Rączyńskiego
 SMAGAŁA — inżynier, lokator w domu Rączyńskich
 RAŻKA — robotnik
 FRANIA — pracownica domowa

Danuta chwilę jeszcze siedzi na schodach, potem schodzi na dół, siada w fotelu)

SMAGAŁA (wchodzi z rulonem pod pachą): Tak tu cicho, jakby wszyscy się pokładli. Tylko ja pe-tam się jak niepotrzebna figura, Odprowadziłem Włodzimierza do Szeligi. Okazuje się, że obaj dobrze się znają. Pana Szeligi nie było w domu. Tylko pani Mery. Odszedłem więc. Pani Mery pytała się o panią. Kazała panią pozdrowić.

DANUTA: Dziękuję.

SMAGAŁA: Podczas mojej nieobecności Frania wstawiła do mnie składane łóżko dla mojego gościa. Koc mam, prześcieradło mam, tylko poduszki nie mam.

DANUTA (pokazuje na kozetkę): Niech pan weźmie stąd.

SMAGAŁA: Czekaj, panie, czekaj. Czy Jan już jest? Chciałbym mu pokazać mój projekt. To jest mój projekt nowej łopatki turbinowej.

DANUTA: Jest u siebie.

SMAGAŁA: U siebie? A pani można pokazać projekt?

DANUTA: Mnie?

SMAGAŁA (rozwinąć rulon): Niech pani spojrz, jakie to proste. Zaraz pani wytłumaczę, na czym to polega.

DANUTA (chce odejść): Może kiedy indziej.

SMAGAŁA (zwija rulon z powrotem): Proszę, może pani chwilę zostanie. Bardzo proszę... Ja się tak cieszę, a pani jest czymś zmar-twniona.

DANUTA: Pan się cieszy?

SMAGAŁA: Skończyłem projekt.

DANUTA: Każdy ma swoje radości.

SMAGAŁA: Myślę, że mój projekt zrobi wiele wrzawy w przemyśle turbinowym.

DANUTA: Będzie pan sławny, bogaty.

SMAGAŁA: Bogaty? Może dostanę wreszcie mieszkanie. Już nadużywam dobroci Jana.

DANUTA: Żeni się pan?

SMAGAŁA: Już chyba zostanie starym kawalerem.

DANUTA: Mężczyzna nigdy nie jest stary. Jest pan wolny i może pan wybierać. Może czeka pana jeszcze szczęście w miłości.

SMAGAŁA: Mężczyźni, którzy nie są wolni, mają czasem większe szczęście niż wolni. Mnie już zostanie chyba moja wolność.

DANUTA: Zał mi pana. A co pan robi za sławę? Sława bez miłości to jak aktor bez widowni.

SMAGAŁA: Nasze marzenie o sławie jest inne niż aktorów. My jesteśmy skromni ludzie, ciś. Naszą widownią są maszyny. I najpiękniejszy pokłask to rytmiczny stukot maszyny. Wtedy wiemy, że wszystko jest w porządku.

DANUTA: Smutne. Inżynier rzeczywiście nie powinien się żenić.

SMAGAŁA: Ludzie są różni. Inżynierowie też bywają różni. Niektórzy się nawet żenią i mają dzieci.

DANUTA: Ja myślę.

SMAGAŁA: Tak... A jeśli idzie o sławę... Któż jej nie pragnie? Mój projekt narobi wiele wrzawy. Długo nad nim siedziałem.

DANUTA: Ja myślę...

SMAGAŁA: Taak. (przez chwilę waha się, czy dalej mówić) To pani nudzi...

DANUTA: Ależ nie, nie...

SMAGAŁA: Pani Danuto!... A więc sławo... Myślę, że siawa to instynkt, z którego człowiek nie zdaje sobie przy pracy sprawy... Mnie na przykład popychała konieczność znalezienia wyjścia z sytuacji. Jak człowiek, który zabłądził w lesie. Musiałem wynaleźć łopatki, które by w wysokiej temperaturze nie niszczyły się tak

szczęśliwa. Jak nigdy. A tu masz! Aresztują w moich oczach Andrzeja.

WERA: To nie może przeszkodzić ci w szczęściu.

DANUTA: Tak. Nic nie może mi przeszkodzić w szczęściu, nic i nikt.

WERA: Otrzymałaś dzisiaj dużo okłasków? Danusi?

DANUTA: Nie o to idzie. Dzisiaj nie grałam w ogóle. Byłam cały wieczór za miastem. (siada na schodku, pociąga za sobą Werę)

WERA: W taką pogodę!

DANUTA: Co mi tam pogoda! Boże! Boże! Jaka ja jestem szczęśliwa!

WERA: Dziewczyno!

DANUTA: Powiedz mi, co mówił Jan, i czy ty też płakałaś?

WERA: Kiedy? Co?

DANUTA: Przy waszym pierwszym spotkaniu...

WERA: Głuptasku.

DANUTA: Nie chcesz mi powiedzieć... A ja wiem, co ci powiedziać.

WERA: No, co?

DANUTA (zastanawia się): Że... że... ty jesteś jedyna i nikogo nie ma poza tobą...

WERA (udaje zdziwienie): Skąd wiesz? Jakbyś przy tym była.

DANUTA (śmieje się): Może nie tak dosłownie. Wera, powiedz, co on powiedział?

WERA: Głuptasku!

DANUTA: Ale ty byłaś szczęśliwsza niż ja. I jesteś szczęśliwsza. Jan będzie ciebie zawsze kochał. I ty jego też.

WERA: Skąd wiesz?

DANUTA: Wiem, czym ty byłaś i czym jesteś dla Jana. Dlatego moje siostry ciebie nienawidzą... Gdybym ja mogła być tak spokojna i silna jak ty! Ty się o swego Jana nie boisz, że możesz go stracić. Że zostaniesz sama...

WERA: Nie jestem ani taka spokojna, ani taka silna. To się tylko tak wydaje. A o Jana bardzo się boję, choć mu tego nie okazuję... Danusiu, co ci się stało, przed chwilą bredziałas że szczęścia, a teraz nagle... Rozchmurz się, dziewczyno!

DANUTA (młczy)

WERA: Co ci się stało, Danusiu?

DANUTA: Jeśli ty, która techniesz spokojem, tak mówisz... To coż dopiero ja... Ja czuję niepokój, wieczny strach. Czasami czuję serce puste, jakby je strach wyjął... Ze wszystkiego stracone... Samej siebie mi żal. A już wszystko zawsze jest pomyłka.

WERA: Jesteś jeszcze młoda. Możesz się jeszcze mylić. N'c strasznego. Przejdzie... Nie chciałam się ciebie pytać, ale powiedz, kto to jest?

DANUTA: Kto to jest? Kto to jest?

WERA: Jeśli nie chcesz, to nie mów.

JAN (ukazuje się na galerijce): Coś ty! Wera! Siadaś sobie na schodach... Siadły sobie na schodach i gadają. Wracaj natychmiast na górę.

WERA: Zaraz wrócę, zaraz, zaraz.

JAN: Nie zaraz, tylko już. Zaproś Danutę na górę.

WERA: Dobrze, dobrze. Zaraz przyjdę.

JAN (wraca do pokoju)

DANUTA: Wera, nie idź jeszcze. Zostań jeszcze trochę. Tak się boję...

WERA: Jak ci znów strach obleciał? Co jest? Czego się boisz?

DANUTA: Jak tu strasznie w tym domu! Jak ty mogłaś z nami zamieszkać?

WERA: Mieszkam z Janem. Żyjemy naszymi sprawami. Z resztą domu nie mamy dużo wspólnego. A ty...

DANUTA: Na mnie już nie licz, Wera. Na mnie już nie liczcie. Pozwól że ja zostanę poza waszymi sprawami.

WERA: Dobrze, dobrze. (śmieje się) Broń się przed tymi sprawami, jak długo możesz... Tylko, w tym domu musisz się bronić na dwie strony.

DANUTA: Ach, ten dom... ten dom. Gdyby nie ty, dom ten spokojnie by dogorywał.

WERA: Gdyby nie było mnie, byłaby inna na moim miejscu...

DANUTA: Gdyby nie ty, kto wie, co by się z Janem stało...

WERA: Głuptasku... Znalazłaby się inna Wera.

DANUTA: Wiesz, że nie idzie mi o to... Wy już nie rozumiecie zwykłych słów, bo używacie tylko gromkich symboli. Ten wasz cały świat ról się od tych spraw, od tych symboli, i ludzie miażdżą się w sieci symboli jak ogłuszone ryby. Wera, czy już nigdy życie nie będzie płynęło ludzkiem prostym torem?...

WERA: Hm... (patrzy zdziwiona na Danutę) Jesteś zmęczona. To rozmowa nie na teraz... (wstaje)

DANUTA: Powiedzieć ci kto to jest?

WERA: No, jak chcesz. Tak bardzo chcesz powiedzieć? Cemu się męczysz?

DANUTA (młczy): Nie mogę.

WERA: Idź już, idź, kochanie. Zimno ci. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze, jak wypoczniessz.

DANUTA: Żeby wszystko mogło być dobrze.

WERA: Idź, odpocznij. (obejmuje ją i całuje) Jan czeka na mnie. Dobranoc, kochanie. (idzie na górę.

JAN (uderza Andrzeja w twarz): Masz za swoje, ty łotrzyku! To ci właśnie chciałem dać na drogę. Szkoda, że tak późno.

EWA: Cemu bijesz moje dziecko?

ANDRZEJ: Cemu ty mnie bijesz? Czekaj, zapłacisz mi za to!

JAN (wyciera rękę chustką): Milcz! Łotrzyku!

EWA: Jakim prawem podnosisz rękę na moje dziecko? Dużo się nim interesowałeś? Palcem nie kiwnąłeś, żeby mu pomóc!

ANDRZEJ: Niech mama przestanie! Oni mi za to zapłacą! (wbiega do pokoju)

EWA: Przycupnąłeś i myślisz, że będziesz miał spokój? Nie unikniesz przeznaczenia. Dziś mnie pytały, czym był nasz ojciec, jutro spytają ciebie. Myślisz, że o tobie zapomniano? Że okupisz się Andrzejem?

ANDRZEJ (z pokoju): Niech tam mama przestanie. Pomóż mi!

EWA: Zapłacisz za wszystko! Jeszcze jest Bóg na niebie, jeszcze tak nie zostanie, świat nie pozwoli, Polska nie pozwoli. (odchodzi)

JAN (spostregł Werę, podchodzi do niej): Werka, kochanie! (obejmuje ją)

WERA: Już dawno jesteś w domu, Jasiu? Dzwoniłam do ciebie do biura. Wzburzony jesteś! Uspokój się. No?

JAN: Nic, nic, kochanie, już mi przeszło. Zmęczonaś? Jak Rażków-na?

WERA: Agonia... Robiliśmy wszystko, co było możliwe. Widziałam, jak się rozmawiało z Andrzejem. Wiesz, Jasiu, to było niepotrzebne. Uderzyłeś go w twarz. Po co? Chciałeś wyładować swój gniew? Niepotrzebnie. (siada na schodku, Jan obok niej)

JAN: Niech wie, komu zawdzięcza więzienie. Teraz pakuje się.

WERA: Mrzysławskiego już aresztowano?

JANT: Tak, dzisiaj rano.

WERA: Biedna dziewczyna. To Andrzej żądał, żeby pozbyła się dziecka.

JAN: Głupia dziewczyna, po co go usłuchała?

WERA: Andrzej chciał ją odstąpić Mrzysławskiemu. Groził jej wyrokami, tyle z siebie wykrztusiła. Janku, my nie możemy tutaj pozostać. Ja nie chcę, żebyś oddychał tym samym powietrzem, co Ewa, co Anna.

JAN: Anna urządziła mi dzisiaj seans. Szukała jakiejś białej sukni. Ona już całkiem traci rozum...

WERA: Chodźmy na górę, jesteś zmęczona, ledwo żyjesz. (chce ją podnieść, ona zatrzymuje jego rękę w swoich dłoniach)

WERA: Po co mówiłaś z Andrzejem, Jasieńku, nie trzeba było z nim wcale mówić.

JAN (podnosi ją, bierze w pól i prowadzi na górę): Nic złego się nie stało, nie martw się, kochanie. A że mu dałem w pysk, to wcale nie żaluję. (wchodzi razem do swego pokoju)

ANDRZEJ (wybiega z pokoju z walizką, za nim Ewa): Nie leć za mną! Wariatka! Zostań tutaj!

EWA: Andrzeju, daj mi znać! Jak ty mi dasz znać?

ANDRZEJ: Dam znać, dam znać.

EWA: Niech ci Frania poniesie walizkę, nie jest ciężka?

ANDRZEJ: Nie, nie trzeba. Bądź zdrowa, mamo!

EWA: Bądź zdrów synu! (obejmuje go i całuje) Synu, synu mój! Niech ci Bóg strzeże!

ANDRZEJ (wybiega): Bądź zdrowa, mamo.

EWA (chwilę stoi, wybiega za Andrzejem)

(Scena pusta. Telefon)

FRANIA (wchodzi, odbiera telefon): Ha! Ha! Zaraz, zaraz (idzie w kierunku schodów) Pani Weronika! Pani Weronika! Telefon!

WERA (z pokoju): Już idę.

FRANIA (do telefonu): Pani doktor zaraz pójdejdzie. (wychodzi)

WERA (schodzi na dół, podnosi słuchawkę): Halo... Kochana, tak. Pani Jadziu, jak się czuje Rażków-na? Umarła... Druga transfuzja nie pomogła. Biedna dziewczyna, było do przewidzenia. Trzymałście ją pod tlenem do ostatniej chwili! Tak, tak... Zakażenie. Operacja też już nie pomogła. Biedna dziewczyna. Czy ojciec już wie? Tak, on mnie zna. Był tu u mego męża. Ja go nie pamiętam. Tak... A jak chora spod dziesiątki? Nie, dziecka jej na razie nie dawać. Dziękuję, Jadziu kochana. Dobrej nocy!... Halo, halo! Czy ostateczność dostaliście? Świetnie. Dziękuję, pani Jadziu. Dobranoc. (powoli odkłada słuchawkę. Wchodzi Danuta)

DANUTA: Aresztowali w tej chwili Andrzeja, na dole!

EWA (wbiega do Wery): Zapłacisz za to! Ty... ty, czerwona wywłoko!

WERA (patrzy za Ewą, biegnącą po schodach)

DANUTA (obejmuje Werę): Wybaczyć jej. Ona oszalała z bólu. Dlatego krzyczy.

WERA: Ona nic więcej nie potrafi.

DANUTA: Czy Andrzeja zabrali za pijaństwo?

WERA: To sabotezysta i szpieg.

DANUTA: Jezus Maria! Rozstrzelają go! (do Wery, która chce odejść) Zostań jeszcze trochę, Wera. Zostań jeszcze chwilę, proszę cię. Przyszedł do domu taka... prawie szczęśliwa... Nie, naprawdę

ANDRZEJ: Nie znam żadnego Mrzysławskiego.

JAN: To ci go przedstawia. A Zosi też nie znasz?

ANDRZEJ: Zośka Rażków-na... Miał dziecko. Wujaszek ja też zna? Co?

4

JAN: Mrzysławskiego miałem już od pewnego czasu na oku. Niestety, organizacja partyjna jest u nas za słaba.

STACH: To właśnie Mrzysławski był sekretarzem na odlewni, u inżyniera Smagały.

JAN: Niestety, tak. Smagała to świetny fachowiec, ale poza swoim projektem nic nie widzi. Z Mrzysławskim rozmawiałem kilka razy. Wszystkiego się wypierał. Nikomu wódki nie dawał. Maszyny psuły się same, bo robotnicy są niewykwalifikowani, prosto ze wsi. Na Andrzeja naprawdziła nas Zosia, wypadek z Zosią. To była planowa robota. U Mrzysławskiego znalaziono szczegółowy spis załogi z charakterystyką, słabościami, które można wykorzystać przy werbowaniu do wrogiej roboty.

STACH: Kto by pomyślał!

JAN: Łącznikiem był Andrzej.

STACH: A Zosia?

JAN: Mam do ciebie żal, Stachu, żeś mnie nie uprzedził co do Andrzeja.

STACH: Nie mogłem tego dyrektorem powiedzieć.

JAN: Dlaczego?

STACH: To siostrzeniec dyrektora.

JAN: Chciałeś zaoszczędzić mi przykrości? Jakim kosztem, pomyśl!

STACH: Nie jestem czarnym niewdzięcznikiem.

JAN: Jak długo będziesz się po-czuwał do wdzięczności? Przez całe życie?

STACH: Wychowałem się w tym domu. Razem z Danutą, razem z dyrektorem.

JAN: Wychowałeś się w kuchni, a nie razem z nami. A twoja matka ciężko sobie na to zapracowała. Ja na twoim miejscu nie byłbym wdzięczny temu domowi. Przeciwnie.

STACH: Po dyrektor jest inny, a ja jestem inny. Czy Zosia wydała Andrzeja? Czy Mrzysławski?

JAN: Zosia nie mówiła. Była w bardzo ciężkim stanie. Odmówiła wszelkich zeznań, dano jej więc spokój. Prosiła Werę, która cały czas jest przy niej, żeby ojcu nie nie mówić. Stary Rażka był tutaj, mówił ze mną. Powiedział mi, że z trudem od ciebie wyciągnął, kto winien.

STACH: Po co miałem mu powiedzieć? Czy to komu pomoże? O Andrzeju i Zosi wiedziałem tylko ja — i Mrzysławski, jak się okazuje.

JAN: Ej, Stachu, Stachu! Chciałes ożenić się z Zosią, a kryłes Andrzeja! Przez cały czas! I teraz po tym wszystkim też! Stary Rażka nie spocznie, póki nie nakryje się wszystkich winnych, nie tylko Andrzeja. Uważa, że ja też nie jestem bez winy. Ma słuszną, bo dopuściłem do dywersji na fabryce. Muszę to odcierpieć. A ty gotów jesteś Andrzeja przebaczyć?

STACH: Ja nie chcę, tylko, żeby pani Wera uratowała Zosię.

JAN: Wera telefonowała prawie co godzinę. Stan dziewczyny jest ciężki.

STACH: Głupia dziewczyna, po co to robiła! Ja bym ją wziął tak, z dziećmi.

JAN: I wszystko byłoby już w porządku?

STACH: Dla mnie — tak.

JAN: A za to wszystko, co zrobił Andrzej?

STACH: Ja do niego nie czuję złości.

JAN: A do kogo?

STACH: Do nikogo.

JAN: A do Mrzysławskiego, że rozpisał robotników na fabryce?

STACH: Niech nie pija.

JAN: I przy tym ktoś psuł maszyn...

STACH: Ja wiem, kto psuł?

JAN: Jakis ty robotnik, że ciebie to nie złości?

STACH: Czy to są moje maszyny, żebyś aż musiał czuć do kogoś złość? To są ich maszyny!

JAN: Czyje ich?

STACH: Rządowe.

JAN (przez chwilę młczy): Czy je: rządowe? Bieruta? Minca?

STACH: Ale też nie moje.

JAN: Jeśli są na fabryce tacy jak ty, jeśli myślasz, że to nie dzwonek, że ja się u tym dowiaduję tak późno, że Andrzej może na fabryce werbować szpiegów, że Mrzysławski sobie chuligan bezkarnie. Gdybyś mi był doniósł wcześniej o tym, co się dzieje, udałoby ci się Zosię uratować. Właśnie dla siebie. Nie rozumiesz tego, co rozumie Rażka.

STACH: Zosia miałaby dla mnie serce, kiedy miała je tylko dla Andrzeja?

JAN: Pewno, bo czym ty mogłeś ja sobie ująć? Cóżes ty przeciwstawił Andrzeja? Nic! Jakie ty masz pragnienia? Żadnych! Wszystko ci jedno, co się wokół ciebie dzieje. Żyjesz życiem jednego me-ta kwadratowego. Czy ty miałeś kiedy jakie marzenia?

STACH: Miałem. ale to już było dawno. To już przeszło.

JAN: Pamiętasz, powiedziałeś mi kiedyś, bardzo dawno, ty pierwszy mi to powiedziałeś, że po śmierci człowieka już jest koniec. Czy dzisiaj też tak samo myślisz?

STACH: Miałem. ale to już było dawno. To już przeszło.

JAN: Pamiętasz, powiedziałeś mi kiedyś, bardzo dawno, ty pierwszy mi to powiedziałeś, że po śmierci człowieka już jest koniec. Czy dzisiaj też tak samo myślisz?

STACH: Miałem. ale to już było dawno. To już przeszło.

JAN: Pamiętasz, powiedziałeś mi kiedyś, bardzo dawno, ty pierwszy mi to powiedziałeś, że po śmierci człowieka już jest koniec. Czy dzisiaj też tak samo myślisz?

STACH: Miałem. ale to już było dawno. To już przeszło.

JAN: Pamiętasz, powiedziałeś mi kiedyś, bardzo dawno, ty pierwszy mi to powiedziałeś, że po śmierci człowieka już jest koniec. Czy dzisiaj też tak samo myślisz?

STRYJKOWSKI

CTWO

DRUGI

STACH — jej syn, robotnik

ANTONI SZELIGA — dyrektor

teatru i reżyser

MERY — jego żona

ANDRZEJ — syn Ewy

WŁODZIMIERZ RYGIER — przyjaciel

Smagały z czasów szkolnych

DOROTA SŁONECKA — teściowa Ewy

KORNELIA SŁONECKA — jej córka

JANKOWSKI — kolega Andrzeja

To już mnie nie ma. Mam tylko dwie plotki i zaraz uciekam. Byłam z Kaziem na obiedzie u plastików. Wchodzi jakiś kociak, z koszykiem. A Kazio mnie pyta: wiesz, kto to jest? To początkująca rzeźbiarka, najnowsza znajomość naszego dyrektora. A, powiadam, sprzeniewierza się scenie dla plastyki. Uśmiełam się. Stąd widocznie bierze się plotka, że Szeliga opuszcza teatr.

DANUTA: A druga plotka?

JOLA: Druga? Drugiej ci nie opowiem. Zresztą to by już była trzecia.

DANUTA: Szkoda.
JOLA: Jesteś dziś kwaśna jak ocet. To znaczy, że plotka z Szeligą jest prawdziwa.

DANUTA: Która? Pierwsza czy druga?

JOLA: Obie.

DANUTA (młczy)

JOLA: Załuję, że Szeliga ma odejść. Obiecał mi jakąś pierwszoplanową rolę. Wiesz, jakie Terenia robi intrygi, żeby dostać pierwszoplanową rolę. A jakie komentarze puszcza na temat twojej roli! Ty na pewno nie masz o tym pojęcia.

DANUTA: Nie przejmuj się.

JOLA: Na pewno sobie nawet nie wyobrażasz. To chodząca zawzięta. Uduje samą serdeczność, a zapewniam cię, że utopilałaby cię w tyżce wody.

DANUTA: Możliwe...

JOLA: A odkąd dostałaś rolę Ireny, to chodź zielona z zazdrości. Powiedziała mi, że grasz Irenę jak prowincjonalna Ofelia. Byłam oburzona.

DANUTA: Dlaczego?

JOLA: Nie udawaj! Dlaczego! Na ostatniej próbie byłam zachwycona tobą.

DANUTA: Przesada.

JOLA: Szeliga był tobą oczarowany.

DANUTA: Przesada.

JOLA: Czy to prawda, że Szeliga ma wstąpić do partii?

DANUTA: Tak? To bardzo ładnie.

JOLA: Biedny Szeliga. To już będzie jego koniec. Tak oni wykańczają talenty. Ale nie po to przyszedł.

DANUTA: Po co?

JOLA: Zgadnij...

DANUTA: Nie chcę zgadywać.

JOLA: Pożyczę forszę.

DANUTA: Ile chcesz?

JOLA: Ile możesz? Dwie setki?

EWA (ukazuje się na galerii): Panię Zygmuniec kochany! (schodzi na dół)

DANUTA (do Joli): Poczekaj chwileczkę. (wychodzi)

JOLA (do Ewy): Dobry wieczór pani, pani Ewo!

EWA (do Smagały): W panu moja ostatnia nadzieja.

SMAGAŁA: Chętnie pani pomogę nie wiem tylko, czy potrafię. Czy ja mógłbym się pani do czegoś przydać?

DANUTA (wraca, daje Joli pieniądze)

JOLA: Oddam ci po pierwszym. Lecę, Kazio na mnie czeka na dole. (wychodzi)

EWA (czeka aż Jola zniknie): Już pan wie? Słyszał pan o moim nieszczęściu? Panię Zygmuniec! Uważamy pana za członka rodziny. Pan na pewno nie odmówi mi pomocy.

SMAGAŁA: O co idzie?

EWA: Spieniężę wszystko. Sprzedam wszystko, co mam po Tadeuszu. Wszystko bym oddała, ale nie wiem komu. Nie wiem, jak się do tego zabrać. To może zrobić raczej mężczyzna. Pan na pewno ma

znajomości. Może przez znajomych Jana...

SMAGAŁA: Co pani mówi? Kogo pani chce przekupić?

EWA: Czy to takie niemożliwe?

SMAGAŁA: W każdym razie na mnie niech pani nie liczy.

EWA: Andrzej jest niewinny.

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: W jego sprawie nikt nie zechce nawet palcem kiwnąć.

EWA: A więc mój Andrzej ma zginąć? Niestety, zawsze jest to samo!

SMAGAŁA: Niech pan już pójdzie. Żadna zemsta Zosi już nie wskrzesi.

RAŻKA: Tak, tu już nie mam czego szukać. Pójdę do kuchni, do Stacha. Trzeba pomyśleć o pogrzebie. (wychodzi, w drzwiach spotyka się z Antonim Szeligą)

DANUTA: Antoni!

SMAGAŁA (wpatruje się w Danutę, bierze powoli poduszkę z kozetki i wolnym krokiem idzie do swego pokoju)

ANTONI: Dobry wieczór!

EWA (przetatałkotała): Antoni! Bóg cię zesłał! Już wiesz o moim nieszczęściu?

ANTONI: Jakie nieszczęście? (wita się z Ewą, potem z Danutą)

EWA: Aresztowano Andrzeja.

ANTONI: Aresztowano? Gdzie? Tutaj?

EWA: Tak. Tutaj, niedawno. Jan go wydał.

ANTONI: Jan go wydał? Jan? (szuka Smagały) Ten inżynier znikł?

EWA: Patrzałam bezsilna, jak mi go zabierali!

ANTONI: Ten inżynier (pokazuje na drzwi Smagały) czy był wtedy w domu? A jego gość? On miał tu przyjechać (patrzy na zegarek) Miał tutaj teraz już być.

EWA: Jan go wydał! Jan go wydał! Ty jeden mi możesz pomóc! Ty jeden musisz mi pomóc!

ANTONI: Ja? Skąd? Ja już muszę uciekać.

EWA: Antoni, ja ciebie stąd nie wypuszczę. (do Danuty) My go stąd nie wypuścimy.

ANTONI: Ewa, ja nie nie rozumiem. Gdzie Jan? Nic nie rozumiem. (do Danuty) Włodzimierz tutaj był? (do Ewy) Cóż ja ci mogę pomóc? Rad bym ci nieba przychylić, moja złota, ale...

EWA: Musisz... O niczym nie chcę wiedzieć... Musisz... Jesteś naszym powinowatym... Jesteś mężem naszej Mery!

ANTONI (patrzy na zegarek): Przyszedłem tylko na sekundę, żeby oddać tę paczkę Włodzimierzowi... Ja ją tutaj zostawię... (daje Danucie paczkę)

DANUTA (odwraca się, nie przyjmując paczuszki)

ANTONI (trzymając paczkę chwilę w ręku, chowa ją do kieszeni): Włodzimierz zostawił ją, chcę oddać mu ją z powrotem. (do Ewy) Muszę uciekać, moja złota...

EWA: Ja cię nie puszczę, ja cię nie puszczę.

ANTONI: Ewo, rozpętać nie ma sensu...

EWA (starając się go zatrzymać): Antoni!

ANTONI: Nie mogę, nie mogę.

EWA: Zostawiasz mnie samą?

ANTONI: Nic ci nie poradzę. Ja z tym nie chcę mieć nic wspólnego. Nikt ci nie poradzi.

EWA: Nikt?

ANTONI: Boję się, że nikt. Dobranoc, kochani! (do Danuty) Dobranoc.

DANUTA (nie patrzyła w stronę Antoniego, teraz się odwraca i patrzy na wzrokiem pełnym pogardy)

ANTONI (kłania się i wychodzi)

EWA: Bydlę! Ty aż się zatręślaś na jego widok, a on? Co za bydlę!

DANUTA (opada na fotel, ukrywa twarz w dłoniach).

EWA: Co za podły świat! Co za ludzie! Bodajby was wszystkich szlag trafił! (idzie na górę).

JAN (wychodzi z pokoju, staje na galerii): Danuta! (milczenie). Danuta!

DANUTA: Tak?

JAN: Kto tu był?

DANUTA (młczy).

JAN (schodzi na dół): Danką, co ci jest?

DANUTA: Co?

JAN: Nie chcesz na mnie nawet spojrzeć. Czy ty mnie też potępiasz?

DANUTA: Potępiać?

JAN: Jak twoje siostry, za Andrzeja...

DANUTA: Za Andrzeja?

JAN: Co ci jest, Danką? Ty nic nie rozumiesz, co do ciebie mówię.

DANUTA: Tyle jeszcze rozumiem, tyle jeszcze rozumiem...

JAN: Majaczysz, Dana!

DANUTA: W tym domu nie trudno majaczyć. (odchodzi, Jan patrzy za nią).

JAN (sam, siedzi przy biurku, wyjmując papier i zaczyna pisać)

FRANIA (otwiera drzwi): To ty, Janku?

JAN: Czego Frania chciała?

FRANIA: Nic, nic, Janku. Pisz, pisz. Może ci dać herbaty? Janku, ta dziewczyna umarła.

JAN: Wiem, Franiu, wiem.

FRANIA: Stach siedzi w kuchni i płacze. Pośle go do ciebie. Już nie mogę patrzeć, jak ten chłopiec płacze. Ty mu to wytłumacz.

JAN: Nie teraz.

FRANIA: Takie nieszczęście. Jeszcze Andrzeja powiesz. Czy go powiesz? Janku?

JAN (młoczy)

FRANIA: No to ja sobie pójdę. Nie będę ci przeszkadzała, Janku. Może dać ci herbaty? Tak ciągle pracujesz. I po co się tak męczysz? Czy to warto? (wychodzi)

JAN (przerywa pisanie, podnosi słuchawkę): Tutaj Rączyński. Cześć. Tak... tak... Dzisiaj został aresztowany. Niedawno... Na tym nie koniec... (dłuższą chwilę słucha). Tak, prze-gapiłem... Zakład ostatnio walczył z trudnościami. Całą uwagę skierowaliśmy na plan. Powinnością wysnuć z tego wnioski, jeśli idzie o mnie. Jaki? Sądzę, że sprawa jest jasna, a raczej prosta... Przesyłam prośbę o zwolnienie. (słucha dłuższą chwilę) Okazuje się, że nie... Nie dopisałem... Nie, nie idzie mi o to, że to mój siostrzeniec. Zawiodłem was. Wasze zaufanie. Nie dorosłem do takiego stanowiska. Bardzo dziękuję za te słowa... Ale ja nie tylko za produkcję odpowiadam... Owszem, pomówić można. Ale swojej decyzji już nie zmienię. Tak, tak jest. Cześć (odkłada słuchawkę, zaczyna znowu pisać)

WŁODZIMIERZ (wchodzi niezauważony, staje): Nie przeszkadzam?

JAN (podrywa głowę): Ty? Ty tutaj?

WŁODZIMIERZ: Miał tu być Antoni Szeliga. Wiedziałem, że stchórzy.

JAN: Czego chcesz?

WŁODZIMIERZ: Nie spodziewałem się mnie? Moja wizyta nie powinna cię dziwić.

JAN: Czego chcesz?

WŁODZIMIERZ: Pomówić z tobą. Mam o czym. Po tylu latach.

JAN: Odejdź.

WŁODZIMIERZ: Nie przyszedłem po to, żeby samemu stąd odejść.

JAN: Czego chcesz?

WŁODZIMIERZ: Długo dawaliśmy ci spokój.

JAN: Sam go sobie wziąłem.

WŁODZIMIERZ: Spokój miałeś dzięki mnie. Miałeś dwa wyroki śmierci, ja je anulowałem, dlatego, żeś się nie ujawnił. Mnie więc zawdzięczasz nie tylko stanowisko, ale i życie.

JAN: Więć wyjm z kieszeni papierkę i odczytaj mi trzeci wyrok. Znam wasze argumenty.

WŁODZIMIERZ: Nie wybieram drogi najłatwiejszej. Zabij — to najłatwiej.

JAN: Czego chcesz. Nie będę z tobą mówić. Odejdź stąd!

WŁODZIMIERZ: Zawiodom UB. Tak jak zrobiłeś z Andrzejkim. Tylko że twoj siostrzeniec o tobie nie nie wiedział.

JAN: Czego więc chcesz? Idź i powiedz wszystko, co wiesz.

WŁODZIMIERZ: Potrzebny jesteś nam. Żywy. Siatka się rozciągała. Nam jesteś potrzebny.

JAN: Nie ma takiej siły.

WŁODZIMIERZ: Wystarczy jedno słówko!

JAN (wzrusza ramionami): Bez blufu!

WŁODZIMIERZ: Przeszłość...

JAN: Przekreśliłem ją.

WŁODZIMIERZ: Bzdura!

JAN: Nie mam przeszłości.

WŁODZIMIERZ: To nie artykuł wstępny, gdzie można wykreślić, co kto chce.

JAN: A ja to zrobiłem.

WŁODZIMIERZ: To nie zależy tylko od ciebie. My też mamy coś do gadania.

JAN: Nic! Słyszysz!

WŁODZIMIERZ: Przeszłość można zataić, ale nie przekreślić. To nie jest ideologia, której jak Judasz można się zaprzeć.

JAN: Jaka tam ideologia! Jesteście bandą zwykłych zbrodniarzy.

WŁODZIMIERZ: Sabotażystów i szpiegów, jak głoszą wyroki sądowe.

JAN: Sabotażystów i szpiegów!

WŁODZIMIERZ: Gardzisz tą bronią? Od jak dawna?

JAN: Dla was dzisiejsza Polska i okupacja hitlerowska to wszystko jedno.

WŁODZIMIERZ: Już zapomniawszy, jak to było. Walczyliśmy wtedy i z tą dzisiejszą. Od kiedy ona zaczęła być twoją Polską?

JAN: Twoi podkomendni wiedzą więcej niż ty, skoro ze dwa razy chcieli mnie rozwalić.

WŁODZIMIERZ: Nie śpiesz się. Spieszno ci do pogrzebu na koszt państwa? To dla Rączyńskiego wyjście bardziej honorowe niż ponizająca spowiedź przed sądem, po zdemaskowaniu po długim śledztwie.

JAN: Wolę taką spowiedź niż być twoim współakiem.

WŁODZIMIERZ: Znam cię, dlatego ci nie wierzę. Nie z tchórzostwa nie poszedłeś się ujawnić. Szlachetka дума. To jedno ci zostało. To się nazywa pochodzenie klasowe. A w rzeczywistości jest atawizmem krwi.

JAN: Zostaw psychologię w spokoju.

WŁODZIMIERZ: Boisz się dyskusji na tak śliskiej płaszczyźnie?

JAN: Nie wytworzył inymniej atmosfery. Przytęszając jak wróg do wroga. Nie ma innego wyjścia jak śmierć jednego z nas. Ze skazanim na śmierć nie dyskutuje się.

Nie chcę z tobą dyskutować.

WŁODZIMIERZ: Kochałem cię za twoją szlachetką dumę. A to jest pycha magnacka... Zawsze na mnie patrzył z góry. A więc co mi proponujesz? Jakie rozstrzygnięcie raczysz mi wskazać w naszej sytuacji?

JAN: Nic ci nie proponuję. Chcę żebyś odszedł.

WŁODZIMIERZ: Więć puszczasz mnie wolno? Tylko że ja stąd sam nie wyjdę.

JAN: Już słyszałem tę groźbę.

WŁODZIMIERZ: Pozwól, że ją powtórzę po raz ostatni. Nie wypuszczę cię z moich rąk.

JAN: Za krótkie masz na mnie ręce.

WŁODZIMIERZ: Ale wystarczają na wspólne z tobą kajdanki. Będziemy jak Lelum i Polekum. Zerwałeś z nami, nie nazwę tego zdradą...

JAN: To by mi przyniosło tylko chłube.

WŁODZIMIERZ: Ale nadużyłeś też ich zaufania...

JAN: To ja rozbiłem was na fabryce.

WŁODZIMIERZ: To ci wybaczam. Ja wybaczam ci Andrzeja i paru tam robotników. Ale oni... Nadużyć zaufania, to gorzej niż go nie mieć wcale. Teraz nic ci nie będą wierzyli.

JAN: Swych wrogów zawsze uważaliście za głupszych od siebie, i zawsze dostawaliście w dupę.

WŁODZIMIERZ: Ja ich przekonam, że akty sabotażu na twojej fabryce dokonywały się nie bez twojej wiedzy. Teraz mnie będą wierzyć. Nie tobie. Powiem, że zlikwidowałeś grupę Andrzeja za moją zgodą. Chodziło o uratowanie ciebie.

JAN: Gangster!

WŁODZIMIERZ: Polityka!

EDWARD CSATO

O Lutowskim z okazji „Kreta“

W każdym ze swoich dramatów wprowadza Lutowski przestępstwo. W „Próbie sił“ lekarz usiłuje spowodować zgon niewygodnego pacjenta, we „Wzgórzu 35“ jest to próba zniszczenia kopalni, w „Sprawie rodzinnej“ działalność szpiegowka, wreszcie w „Krecie“ mamy przestępstwo dokonane: dywersanci rekami oszukanego górnika wywołują katastrofę w kopalni. Nie ma w Polsce obecnie drugiego autora dramatycznego, który by z taką stałością wykorzystywał ten motyw w swoich sztukach. W ogóle jednak jest to motyw częsty w literaturze i można by z grubsza wyróżnić kilka funkcji, jakie pełni.

W utworach sensorycznych przestępstwo służy do zawiązania akcji; tak dzieje się w powieściach i dramatach „detektywistycznych“ polegających na szukaniu sprawcy zbrodni i będących wcieleniem sensoryczności w jej najczystszej formie. Czasem jednak „sensacyjność“ służy pewnym wyższemu celom, jakie sobie autor założył, wówczas i funkcja przestępstwa jest w utworze inna. Zbrodnia w takich przypadkach nie zaczyna utworu, lecz przesuwa się gdzieś do jego środka: staje się skutkiem jakichś wcześniejszych przeżyć i prowadzi logicznie do następnych. Równocześnie w planie ideowym dzieła wynika ona z konfliktu moralnego, filozoficznego czy społecznego. Ujawnia ten konflikt z wielką ostrością i od dalszej akcji żąda odpowiedzi na pytanie, zawarte w samym fakcie przestępstwa.

Z takiej roli przestępstwa wynika przeważnie jego centralne usytuowanie w utworze literackim.

To zrozumiałe. Także i w życiu ludzkim spotkanie ze zbrodnią to przecież próba niecodziennej miary. Stykając się z nią, odczuwamy wstrząs, ponieważ nigdy nie może być ona czymś od razu zrozumiałym. Tylko publiczność złożona z zawodowych morderców mogłaby przyjąć obraz zabójstwa na scenie jako fakt nie wymagający komentarzy; nie chodzi przy tym oczywiście o ukazanie zewnętrznych zdarzeń, które doprowadziły do zbrodni, ale o wyjaśnienie głębsze, psychologiczne i moralne: jak to możliwe, że ktoś dopuścił się aż takiego czynu? albo — jak mogło dojść do tak okropnych wydarzeń? Stopień zdziwienia, jakie autor potrafi obudzić opisem zbrodni, mówi o nim wszystko, ukazuje go z najistotniejszej strony. Dość przypomnieć karty tolstojowskiego „Zmarłych“ i „Wojny i pokoju“, aby pojąć tę prawdę.

Oczywiście nie każdy jest Tolstojem. O Lutowskim twierdzi się niekiedy, że teatry nasze mają w nim „zręcznego dostawcę sztuk współczesnych“, budujących zainteresowanie publiczności, a nie posiadających większych pretensji artystycznych. Gdyby tak było, trzeba by przypuścić, że przestępstwa, jakie opisuje, czynią z niego typowego autora sensorycznego i że wobec tego ma on prawo nie poruszania „głębszych“ problemów. Tymczasem nic z tego nie sprawdza się w konfrontacji z utworami. Po pierwsze Lutowski, choć posługuje się nie raz środkami z repertuaru „sensacyjnych“, wcale zbytnio za sensorycznością nie goni; nie stara się na przykład maskować przed widzem sprawców zbrodni, co świadczy, że nie należy mu na efekcie detektywistycznym, lecz pragnie budzić jakieś refleksje ogólniejsze. Po drugie, nazywając Lutowskiego „zręcznym dostawcą“ jest przedwczesne, choćby dlatego, że nie tak wiele znajdziemy (mimo wszystko) w naszych współczesnych sztukach rzeczy tak niezręcznych, jak ostatni akt „Kreta“. Owszem, Lutowski jest autorem, który uczy się szybko i uczy się dobrze praw perspektywy teatralnej; co zaś najważniejsze, posiada on jakąś naturalną dyspozycję do wyrażania swoich przeżyć formą dramatyczną. Od tego jednak do roli zręcznego dostawcy jest daleko. Samo pojęcie zresztą nie grzeszy jasnością; historia teatru zna wiele rodzajów „zręcznych dostawców“, od Szekspira i Moliera do Bus Feketa. Różnice polegają tu zdaje się przede wszystkim na tym, czy jest się tylko zręcznym dostawcą, czy też zręcznym dostawcą i jeszcze czymś więcej.

Skończyć mamy do czynienia z pisarzem, dla którego za wcześnie jeszcze szukać rangi (u jednych da

się ona określić bardzo szybko, u innych trzeba się zdobyć na cierpliwość), należy się przyjrzyć jego ambicjom.

Ambicje Lutowskiego na ogół nie mówią o tym, aby pragnął on zostać „tylko zręcznym dostawcą“. Prawda, że w jego utworach obserwujemy często niepokojącą łatwość zeszlizgiwania się z prawdziwych konfliktów w sztuczne powikłania sceniczne. Prawda też, że nie zdarzyło mu się jeszcze, aby stworzona przez niego postać sceniczna, mająca zadatki ciekawego, oryginalnego charakteru, nie stawała się w rezultacie jedynie rolą, choć lepszą od innych. Ale przecież w samym tym osądzie zawiera się potwierdzenie, że jednak widać w sztukach Lutowskiego zawiązki prawdziwych konfliktów i zadatki prawdziwych charakterów — że był tam zamiar, któremu sprostać nie mogła technika i wolała wybrać drogę mniej trudną. Przy żalosnym stanie umiejętności dramatycznych naszych młodych pisarzy łatwo urzeczywistnia się paradoks, że autor, któremu już dają tytuł „zręcznego dostawcy“, w rzeczywistości daje coś znacznie więcej w swoich ambicjach, a coś znacznie mniej w dotychczasowych realizacjach.

W postaciach profesora Mokrzyckiego z „Próby sił“, Barbary ze „Wzgórza 35“, starego Kamińskiego ze „Sprawy rodzinnej“ i inżyniera Horasińskiego z „Kreta“ można jednak wyczuć wiele autentycznej obserwacji ludzkich przeżyć.

Obserwacja ta jest powierzchowna, odnosi się nieraz wrażenie, że autor nie umiał znaleźć dla tych ludzi owej najwłaściwszej próby, która w pełni otworzyłaby ich serca przed oczami widzów — że wie o nich mniej, niż zasługują, że niepotrzebnie ucieka od nich do innych, banalnych spraw. Niestety, znalazł taką próbę jest trudno, a spacerować po obszarze własnej sztuki i szukać efektów znacznie łatwiej... Lutowski jest odważny jako obserwator i jako człowiek; dostrzega w życiu problemy, których inni wolą nie zauważać i nie boi się mówić o nich w swoich utworach; brak mu jednak owej czysto pisarskiej odwagi wnikania w sprawy i ludzi, przewartościowego wnikania ich myśli i postępków, szukania dalekich i różnych konsekwencji postawy, która go interesuje. Odwaga pisarska, jak każda, może rosnąć z doświadczeniem.

Mamy w „Krecie“ sprawę, która rozgrywa się w przeważnie mierze pomiędzy czterema ludźmi: dwoma górnikami, inżynierem — kierownikiem kopalni i sekretarzem organizacji partyjnej. Jeden z górników odbił drugiemu dziewczynę, więc ten drugi z zemsty namawia go do współzawodniczenia z najlepszym przodownikiem kopalni i ułatwia mu niezbyt uczciwe i narażające całą kopalnię na niebezpieczeństwo osiągnięcie wysokich wyników, aby go w końcu skompromitować. Atmosfera w kopalni jest niedobra, współzawodnictwa dotychczas w ogóle nie było, górnicy uważają je za oszukaństwo, nie dziwnego więc, że i tę próbę przyjmują nie głosnym oburzeniem, lecz cichymi ironicznymi szeptami. Sekretarzowi podstawowej organizacji, który na swoim stanowisku stał się biurokratą i karierowiczem, zależy tylko na zewnętrznym efekcie. Jedynie kierownik kopalni, stary, fachowy inżynier, protestuje przeciw nieuczciwości, ale słabo; gdy tylko krzykacze z sekretarzem na czele zaczynają mu zarzucać inteligencję, obojętne klasową, o mało że nie wrogosć, rezygnuje z oporu, choć wie, że w razie wypadku on ponosi odpowiedzialność; woli się pocięzać myślą, że „jakoś to będzie“ i nie narażać się na „konflikt z Partią“ — bo tak tę sprawę rozumie.

Pomysł dramatyczny doskonały, najlepszy z dotychczasowych Lutowskiego. Nic w nim nie ma wymyślonego ani szubecznego. Przedstawia istotnie zjawiska typowe — to znaczy równocześnie indywidualne i uogólnione, a przez to ważne dla naszego życia. Mieści w sobie konflikt, który w żadnej innej formie nie da się wyrazić tak zwięźle i sugestywnie, jak właśnie w scenicznej. Stwarza olbrzymie możliwości ukazania ludzkich charakterów w ich przemianach i dojrzewaniu. Ibsen o podobnych sprawach pisał wspaniale dramaty.

Ale gdyby duch Ibsena pojawił się we śnie Lutowskiemu, kazałby mu zapewne wyrzucić wiele sytuacji i co najmniej kilka postaci, a największą uwagę skupił na tych czterech. Doradziłby mu, aby w ich wspólnym konflikcie, w ich przeżyciach, dążeniach i działaniach postarał się zmieścić cały obraz rozległej problematyki: przewycięzania złego współzawodnictwa w imię dobrego, przewycięzania fałszu w pracy w imię socjalistycznej etyki, przewycięzania strachu przed jednostkami partyjnymi w imię zaufania do Partii. Jeśli obraz ten byłby „rzeczywiście“ wierny życiu i wyrazisty artystycznie, w takiej jego wymowie pozytywne znaczenie zawarłoby się znacznie lepiej, niż w komentarzach pozytywnego rezonera.

Natomiast zmartwiłby się duch Ibsena (i każdy inny przyzwolity duch dobrego pisarza), gdyby mu Lutowski w swoim marzeniu sennym odpowiedział: Nie zrobię tak

jak mi radzisz, bo obawiam się, że nie stać mnie na próbowanie tak trudnej drogi. Nie ograniczę się do czterech czy pięciu głównych postaci i choć pragnę przedstawić moim przyszłym widzom ważny i bolesny problem, to jednak postaram się go rozcieńczyć i przyozdobić rodzajowym obrazkiem z życia górników. Oprócz tego zresztą muszę jeszcze w swojej sztuce załatwić kilka innych problemów, o których pisze się dziś w gazetach. W swoich poprzednich utworach zawsze tak postępowalem i mimo to spotkały mnie pochwały ze strony niektórych kolegów w Sekcji Dramatu. — Po co inne problemy? — zapytał duch. — Aby mi nie zarzucano, że nie docenił. — A po co o obrazek rodzajowy? — Bo pragnę być popularny i powszechnie dostępny. — Według moich doświadczeń — odpowiedziałby Ibsen — powszechną dostępność osiągnąć można jedynie przez jednoznaczny i wyraźny sposób podania swej myśli, przez skupienie się na niej i mówienie o niej z całą namietnością. A wreszcie, jeśli nie chcesz pójść za moją radą, coś zrobisz ze zbrodnią, którą myślisz ukazać w swojej sztuce, a która wymaga przeżyć skupionych i mocno zarysowanych charakterów, nie tak jak w obyczajowym obrazku? — Zrobię, jak robiłem dotychczas — rzekłby Lutowski i zbudziwszy się, siadłby od razu do pisania.

Cóż więc robi Lutowski ze zbrodnią? Jak już była mowa, nie interesuje go ona wyłącznie z punktu widzenia sensorycznego. W takim razie służy mu chyba do ukazania rozleglejszych problemów ideowych i moralnych? Zapewne, ale... skoro tylko wypowiadamy to zdanie, zaraz ogarniają nas wątpliwości. Spróbujemy skonfrontować je ze sztukami.

Najważniejszą sprawą w „Próbie sił“ jest walka wewnętrzną znakomitego lekarza, kierownika kliniki, który od postawy apolitycznej przechodzi do zrozumienia, że jedyną słuszną moralnością dzisiejszego człowieka jest moralność socjalistyczna. Obok tego wątku mamy jeszcze kilka mniej eksponowanych, w których różnymi sposobami stara się autor przedstawić ten sam problem. I wreszcie — mamy dwie zbrodnie. O jednej z nich — sabotażu gospodarczym, który utrudniał racjonalizatorskie doświadczenia — tylko słyszymy w relacjach; drugą oglądamy na scenie. Jeden z lekarzy podwładnych prof. Mokrzyckiego, postać raczej epizodyczna, usiłuje spowodować śmierć pacjenta, robotnika, który zamaskował jego zbrodniczy czyn w czasie okupacji. Zewnętrzne okoliczności zbrodni dawniejszej i obecnej ukazane są dość dokładnie, natomiast jej udział w akcji wewnętrznej, w rozwoju przeżyć i konfliktów głównych bohaterów jest pośredni i jednostronny. Kiedy słyszymy, że nasz bliski znajomy, którego uważaliśmy za osobistość niezbyt kryształowej moralności, ale nie zdolną do wielkich świstów, popełnił aż zbrodnię, jesteśmy skłonni do głębszego zastanowienia się nad zagadnieniem etyki i może nawet do zmiany niektórych poglądów. Zbrodnia odgrywa wówczas rolę uczuciowego i rozumowego argumentu. Sami jednak czujemy się całkowicie poza nią. Tak właśnie czuli się zapewne główni bohaterowie „Próby sił“, dowiedziawszy się o nikczemnościach owego doktora Grodeckiego.

W „Sprawie rodzinnej“ wprowadza Lutowski interesujący konflikt pomiędzy racjonalizatorem a jego najbliższym domowym otoczeniem. Ojciec, matka i żona z różnych względów niezadowoleni są z jego pracy nad wynalazkiem. Chwilami przychodzi im do głowy, że gdyby owa praca nie istniała, byłoby szczęśliwi. Od tego tylko krok do myśli o zniszczeniu nieszczęsnego papieru. Kiedy jednak plany rzeczywiście giną, wszyscy zaczynają się wzajemnie podejrzać i oskarżać: fakt przestępstwa ułatwił im właściwą ocenę poprzednich zamyśłów. Ale w rzeczywistości tezękę z formułą wynalazku zabrał kto inny: lekkomyślny młodszy brat racjonalizatora potrzebujący pieniędzy na zabawę i nie zdający sobie sprawy, że z czynu jego ma skorzystać obcy wywiad. A właśnie ten chłopak jest postacią dla wewnętrznego nurtu akcji znacznie mniej interesującą, stojącą poza nim, na uboczu. Jemu wcale nie zależy na tym, aby brat przestał się zajmować wynalazkiem.

Znowu więc obserwujemy tu chwyt, podobny do zastosowanego w „Próbie sił“: przestępstwo jest elementem zewnętrznym w stosunku do akcji głównych bohaterów, nie biorą w nim udziału, ani też nie mogą mu przeciwdziałać. Stanowi ono natomiast pewien argument przeciwko dotychczasowej ich postawie i ułatwia im jej rewizję. Wprawdzie w porównaniu z „Próba sił“ osiąga tu Lutowski większe napięcie dramatyczne przez wprowadzenie u bohaterów owych niezdolnych myśli przeciwko wynalazkowi, mechanizm jednak działania przestępstwa pozostaje w zasadzie ten sam.

A jak jest w „Krecie“? W zreferowanym powyżej zarysie akcji tego utworu nie ma przecież żadnej zbrodni, są zaledwie błędy i przyrwy, jakie dość często możemy obserwować w życiu codziennym: oportunizm, karierowicz-

stwo, krzykactwo, frochą nieuczciwość, nie wykraczające jednak poza legalne granice. Zbrodnię wprowadza Lutowski znowu boczniymi drzwiami, znów przez epizodyczne postacie. Okazuje się mianowicie, że na terenie kopalni działa hitlerowski szpieg. I właśnie ten szpieg, stara sprzączka, wykorzystuje chęć zemsty osobistej u młodego górnika, aby go stopniowo doprowadzić do wywołania katastrofy. Dopiero owo zbrodnicze wydarzenie otwiera wszystkim, pozwała im poznać swoje błędy, staje się dla nich podobnie jak w poprzednich sztukach — argumentem decydującym o zmianie postawy.

W przeciwieństwie jednak do tamtych sztuk, autor spróbował świadomie wykorzystać ową zewnętrzność motywu zbrodni wobec głównego przebiegu akcji. Lutowski ustami jednego z bohaterów wygłasza tu tezę: w skale krety nie potrafią ryc chodników, potrzebują do tego miękkiej gleby. Oslabienie czujności ideowej i zmniejszenie wrażliwości na owe „drobne“ błędy moralne przygotowuje grunt dla działania wrogów. Gdyby inżynier nie tchórzyl przed „postępową“ frazeologią, gdyby sekretarz organizacji partyjnej nie popierał tak lekkomyślnie nietrwałego współzawodnictwa, gdyby górnicy nie zaniedbywali bezpieczeństwa pracy dla osiągnięcia wyników — nie można by tak łatwo dokonać dywersji. A więc owe zewnętrzne z pozoru sprawy w rzeczywistości wiążą się z sobą bardzo ściśle.

Cóż z tego, skoro wiążą się one jedynie w morale sztuki, skoro moral ten razem z ujawnieniem sprężyn przestępstwa spada na widza niespodzianie? Zapewne, można by napisać interesującą sztukę o tym, jak wrogowie Polski Ludowej wykorzystują nasze słabości dla swoich celów, ale „Kret“ taką sztuką nie jest. Nie wierzymy deklaracjom autora, kiedy sens działania dramatycznego mówi coś innego. Dlatego słusznie wskazują niektórzy krytycy, że ów wątek „dywersyjny“ w rezultacie osłabia główny nurt akcji, że nasuwa widzowi niepokojące pytanie: co by było, gdyby nie owa zbrodnia, w istocie swej całkiem zewnętrzna? Czy w kopalni dalej kwitło by kiepskie współzawodnictwo? Czy inżynier Horasiński dalej drżałby przed słowem „Partia“?

Myślę, że owe zarzuty są słuszne i że podobne można by wysunąć w stosunku do „Próby sił“ i „Sprawy rodzinnej“. Czujemy, że Lutowski powoławszy do życia pewną grupę osób i uwikławszy je we wzajemne konflikty, w pewnym momencie jak gdyby przelał się konsekwencji, jakie z tych przeciwieństw mogłyby wynikać. Wówczas ustawia obok ludzi małą bombkę. Bombka wybuchła, wszyscy są przerażeni i wzruszeni. Właściwie wprowadzone przestępstwo nie pasuje swoim gatunkiem ściśle do kłopotów, jakie tych ludzi trapiły, nie jest ono — rozumowo rzecz biorąc — cennie dobranym argumentem. Dywersja nie jest argumentem przeciw oportunistom, ani szpiegostwo przeciw niedocenianiu racjonalizatorów. Ale wzruszenie samą „eksplozją“ jest takie, że nawet widz nie sprawdza dokładnie rozumowania nie mówiąc o postaciach scenicznych, nad którymi autor ma większą władzę. W ten sposób postacie owe, zamiast brnąć w swoje trudne konflikty i przedierać się przez wątpliwości, od razu znajdują rozwiązanie, godzą się ze wszystkim i rzecz cała kończy się pogodnie.

Jedynie we „Wzgórzu 35“ motyw zbrodni odgrywał zupełnie inną rolę, był ściśle związany z działaniem głównych bohaterów, i dlatego tylko we „Wzgórzu“ widz przeżywał, że zbrodniarz zostaje ukarany. W pozostałych sztukach autorowi wystarczyło wyprowadzenie go poza scenę. Niech się tam już inni o niego martwią...

Edward Csato,

Śląsk w latach okupacji

Wilhelm Szewczyk: **Czarne słońce**, PIW, 1953.

Powieść Wilhelma Szewczyka „Czarne słońce“ jest drugim ogniwem cyklu powieściowego o walce śląskiej klasy robotniczej. Cykl otworzyła powieść „Kleszcze“ (1951) dająca obraz Śląska w okresie przedwzręsniojęj gorączki wojennej, obraz nasycony niepokojem, gniewem i dezorientacją tamtych dni. Powiedzmy od razu, że „Kleszcze“ są lepszą powieścią niż „Czarne słońce“. Pierwsza książka jest bardziej zważta, o szybszym rozwoju dramatycznym, jest w niej rzeczywistość wydobytą smak tych historycznych dni. Szewczyk wykorzystał tę realistyczną szansę, jaką stworzył burzliwe wydarzenia sierpniowe, pozwalając rzucić światło na całą atmosferę przedwzręsniojęj Polski, atmosferę oglupienia, zdrady i niepowinności.

Przy lekturze drugiej powieści cyklu odczuwamy brak jakiegś konsekwentnej koncepcji artystycznej. Tu zresztą zamysł autora są inne — Szewczyk nie dąży do artystycznych skrótów, ale odwziera losy kilkunastu postaci na przestrzeni sześciu prawie lat okupacji, pokazuje wydarzenia w ich autentycznej, powieściowo nie wystrzonej wersji. I to jest chyba najpoważniejszy zarzut, jaki powieści należałoby postawić: za dużo drobiazgowości, epizodów i postaci, nie podporządkowanych naczelną koncepcji. Szewczyk rozbudowuje swoją powieść do sporych rozmiarów bez żadnej właściwie nadrzędnej konieczności.

Przyjrzyjmy się bliżej kreacjom bohaterów książki. Najciekawszym z nich jest niewątpliwie Słupik niemłody już, niemrawy, nawet z początku niezbyt rozgarnięty górnik, który zostaje wciągnięty do konspiracji kierowanej przez komunistę Bartosza. I oto ten Słupik w toku kilkunastu, niebezpiecznej pracy konspiracyjnej wyrasta na przywódcę robotniczego kolektywu. Kiedy wkraczający żołnierze radzieccy pytają o szefa kopalni, górnicy wysuwają jego właśnie, jako swego reprezentanta. Jest w tym obrazie jakiś głębszy, metaforyczny sens, jeśli taki właśnie człowiek, małowalny i niezbyt lotny, wciągnięty w nurt wielkich spraw, dojrzewa, rozszerza swoje intelektualne horyzonty, jeśli on właśnie okazuje się najlepszym komentatorem wojennych wydarzeń, jeśli górnicy jego sądy będą uważali za swoje. Koncepcja artystyczna tej postaci jest właśnie przez swoje wyjaśnienie przekonywająca. Bo Szewczyk równocześnie utrzymuje pewną barwę jednolitości psychologicznej tej postaci, wyraźna jest konsekwencja jego duchowej sylwetki.

Ale w obozie pozytywów Słupik jest wyjątkiem. Inne postaci są blade, statyczne, robią wrażenie wymyślonych, wyspekulowanych. Czołowym ideologiem ruchu robotniczego w Czerwonej Wodzie jest Bartoszek, monter kopalniany, który przez czas trwania okupacji żyje właściwie poza hitlerowskim prawem, poszukiwany przez gestapo, ścigany przez swych zażądłych, osobistych wrogów — grupę miejscowych, hitlerowskich dygnitarzy. Bartoszek ma wyjątkowe szczęście, wychodzi bowiem cało ze wszystkich opresji, ale właśnie te bezustanne sukcesy w myleniu policji, zawsze słuszne i nieomyłne postępowanie, odbierają postaci Bartoszkowi ludzką prawdę, życiowe prawdopodobieństwo. Ale zastrzeżenia czytelnika nie ograniczają się do tych spraw, dotyczących w końcu tylko psychologicznego szczegółu. Postać ta opisana jest nawet dość drobiazgowo, znamy i stosunki do jej, mieszkanka, kontakty. Ale czemu służy ostatecznie to wszystko? Kim jest Bartoszek, jako jeden z czołowych bohaterów powieści, jako postać, która rozgrywa swoje życie w jakiś aproblemowany przez autora sposób? Na czym polega uogólnienie doświadczeń pisarskich zawarte w jego losach? Mogł istnieć, rzecz jasna, taki człowiek, mógł być wyjątkowym szczęściarzem,

mógł brawurowo wygrywać swoje porachunki z ludźmi hitlerowskiego państwa. Ale czy opisanie go wystarczy, aby stworzyć z tego materiału epicką postać? Najlepiej nawet uchwycone szczegóły muszą być podporządkowane jakiemuś nadrzędnemu, ideologicznemu celowi. Nie ma tu postaci swego indywidualnego, ideologicznego kośca, nie ma żadnej koncepcji epickiej — dlatego jest postacią nieudana.

Podobne wątpliwości budzą także inne postaci rewolucyjnego frontu. Dziennikarz Emil Szóstok, który w „Kleszczach“ w bardzo ciekawy sposób dochodzi do decyzji zerwania z łatwym życiem w stolicy i powrotu na Śląsk, jest w „Czarnym słońcu“ jako postać powieściowa rozmazany. Jego życie znów jest tylko opisem — historii brak jakiegś zamknięcia, jakiegś ideologicznego pointy. Najbardziej błado wypadła postać Jilka, inżyniera, przedwojennego zawiadowcy kopalni, który w okresie okupacji rzucił zawód inżyniera i wiąże się z robotnikami, aby z nimi wspólnie walczyć i pracować. Pomysł to niewątpliwie interesujący, ale pisarstwo nie dopisało w tym miejscu wyobraźni. Decyzja Jilka — to przecież decyzja dość trudna, a jednocześnie dla całego jego życia niezwykle doniosła. Jej motyw, jej następstwa powinny być w powieści jakoś głębiej, w bogatszy sposób narysowane. Jilk rzucił przecież cały swój dotychczasowy świat — nie może się więc zachowywać jak dziecko, które weszło do nieznanego sklepu z zabawkami.

A front wrogów? Trzeba powiedzieć, że na ogół biorąc postaci tego frontu są artystycznie pełniejsze, lepiej udane. Dobrze narysowana jest np. postać hitlerowskiego restauratora Ducha, człowieka, którego mentalność, postawa życiowa ucieleśniają „moralne“ zasady hitlerowskiej ideologii. Żywiołem tego człowieka jest terror, ideałem życia — zdobyć jak najwyższą władzę, bezwzględne posłucha, możliwość absolutnego decydowania o życiu swych podwładnych.

Sugestywnie narysowaną postacią jest także gestapowiec Lux, człowiek, który jako hitlerowiec dojrzuje w momencie, gdy niszczy w sobie resztki ludzkiego stosunku do człowieka. Ten człowiek — to ideał hitlerowskiego policjanta — jest okrutny i przebiegły, ograniczony i wyzbyty ludzkich cech, ale sprytny i czujny jak pies. Także i słuszny dobór tych ludzi: donosiela i policjanta na reprezentantów ustroju hitlerowskiego umożliwili autorowi stworzenie przekonującej obrazu.

Powieść Szewczyka jest, jak wspomnieliśmy już na wstępie, bardzo szerokim obrazem Śląska lat okupacji. Poza wymienionymi postaciami pierwszego planu pojawia się w niej mnóstwo innych, ludzi wielu różnych środowisk, postaci przewijających się przez całą powieść, lub tylko epizodycznych. Jedne z nich uzupełniają autorowi socjologiczny przekrój Śląska, inne statystują, jako to działania bohaterów, są między nimi i takie, które rzeczywicie są kreacjami artystycznymi, fragmentarycznie tylko pokazane, utrwalają się jednak w pamięci czytelnika (Angela, Rozniecki, Comperlik). W ogóle w powieści dają się dostrzec pewne wahania autora, czy orientować się w koncepcji na socjologiczny schemat, w myśl jego zasad konstruować postaci i sytuacje, czy też tworzyć je żywiołowo, tak, jak je podsuwa pamięć, osobiste przeżycia i doświadczenia. Na ogół jednak postaci i sceny drugiego typu udają się lepiej, co wcale nie znaczy, że pisarz ma w przyszłości ograniczać się do osobistych doświadczeń jako powieściowego materiału. Chodzi mi o to, że wyobraźnia nie zawsze skutecznie wspomaga pisarza przy kreacjach pierwszego typu, że wypełnienie tych błędów, mało plastycznych miejsc powinno stać się jego troską przy pisaniu dalszych tomów cyklu.

Włodzimierz Maciąg



Jerzy Lutowski: „Kret“. Scena zbiorowa z ostatniego aktu (Gorzelski — K. Opaliński)

REPORTAŻE

Grażyna Woysznis-Terlikowska

ZAMINOWANE POLE

Opowiadanie o Nowych Tychach

Str. 136 zł 2.50

Andrzej Wydrzyński

PODEJRZENIE

Str. 140 zł 3.15

Jerzy Janicki

NYLON

Trzecia nagroda

na „Konkursie Pokoju“

Związków Literatów

Polskich

Str. 64 zł 1.05

Kazimierz Koźniewski

REPORTAŻ PEDAGOGICZNY

Str. 76 zł 1.45

„KSIAŻKA I WIEDZA“

k 550-1

MARCIN CZERWIŃSKI

Rys. J. M. SZANCER

Pochwała sztuki bardzo ludowej



Wszyscy miawamy chwie, kiedy chcieli- byśmy być lżejsi od powietrza i sny, w których unosimy się bez przeszłości. O tych ostatnich psychoanalizy mówią brzydko, wiadomo jednak, że podnoszą oni do godności metody naukowej prawidła działania dość zabagnionej wyobraźni.

Każdemu też znane jest poczucie wielkiego rozczarowania, kiedy jakiś plan działania naszkicowany w świadomości — wszystko jedno czy będzie to pojedynczy gest czy złożone czynności obsługiwania maszyny lub robienia zakupów — kiedy nasz plan działania zostaje w sposób bezwzględny nagle rozbity przez nieposłuszeństwo rzeczy. Gdy obmyśliłmy wspaniały plan kupienia tapczana koniecznie przed trzecią, kiedy nie ma tłoku, stwierdzamy na pięć minut przed napływem nabywców, że portfel z pieniędzmi został w domu. Umrakają nam stopnie tramwaju, zdradzają ścięte obcasy, klucze nie pasują do zamków, jakieś obcegi obsuwają się z jakiegoś żelaza, młotek nie trafia w gwóźdź. To są te chwile, kiedy między nami, a naszym osobistym celem staje świat rzeczy, który sam przez się nie przychodzi z pomocą, zaniedbany zaś mści się ruiną naszych zamierzeń, przypominając, upokarzając bezwzględnie „nauczka”. I portfel, i klucz, i obcas, i obcegi nie słuchają naszych życzeń, choćby myślanymi żarliwie, w rozpacz czy gniewie. Słuchają naszych czynów, jeśli te stosują się do ich prawideł — jeśli liczą się z mechaniką i statyką. Te nasze załamania, ta obojętność wśród świata rzeczy nie trwa długo. Przywraca nam spokój, jakże wtedy kojącą pewność myśli, że świat ujęliśmy w system, który ostatnie słowo daje nam. Że do sklepu można wrócić nazajutrz, pomyślano bowiem o różnych możliwościach i jest otwarty codziennie, że przyjdzie zaraz następny tramwaj, obcegi uchwycą żelazo, bo są do tego przystosowane, obcasy zostaną podzełowane. To są argumenty rozsądne i bez nich popadlibyśmy w histerię bez granic, w obłąkane urazy, w magię i mitologię, w kult obcasów — idoli i fetyszów — portfeli. Rozsądkowi wyścawcy racjonalni i techniczni organizacja naszego świata. Ale ludzie są nie tylko rozsądni, są ponadto obdarzeni wyobraźnią, która ma inne jeszcze prawa swego zapożyczenia, której nie we wszystkich wystarcza wiedza teoretyczna, która potrzebuje objąć, posmakować lub przynajmniej zobaczyć.

Nasza uporczywa walka z mechaniką przedmiotów domaga się potwierdzenia w samym swoim założeniu. Potrzebujemy nie tylko pewności, że naprawimy nieudaną czynność konkretną, chcemy też nie wątpić, że w ogólności mamy nad rzeczami przewagę. Szukamy metaforycznego potwierdzenia samej idei takiej przewagi. Stąd pochodzi wielka popularność wszelkich zawodów sportowych, popisów lotniczych itp. Widok pokonywania przestrzeni, oporu nart, maszyny, czy rakiety, ze sprawnością przekraczającą możliwości przeciętne upaja biernych widzów, stanowi uczestnictwo w świecie gatunku ludzkiego — w jego triumfie nad obojętnymi rzeczami. W tych jednak widowiskach jest jeszcze element trudu i walki, sam w sobie pasjonujący, jakoś centralny, ale właśnie ten nadający sprawie charakter dramatu rzeczywistego, w którym nieorganizowany przypadek gra zasadniczą rolę. Tu wynik bywa niepewny, sprawa nie ma umownego charakteru. Wyobraźnia nasza szuka więc ponadto czystej, poetyckiej metafory władzy człowieka nad przedmiotami. Metafory, w której przypadek jest opanowany. Dlatego zapewne śnimy o lataniu, w chwilach euforii mówimy, żeśmy lżejsi od powietrza, i w robieniu złączonym z jakąś oporną ciekawością — gdy, nie wierzy-

my w metempsychozę — słuchamy opowieści o czarownej władzy poruszania przedmiotów „myślanym” tylko aktem woli.

Dlatego też, jak sądzę, od tak dawna ludzie lubili cyrk. Dlatego był on tak bliski ludziom prostym, doświadczającym stałego trudu pokonywania oporu przedmiotów. Cyrk miał ludowe początki i służył w sposób bardzo czysty wyrażaniu swej wielkiej idei, póki go nie zakaziła burżuazja szukająca w nim jarmarku sensacji, burżuazja żyjąca w nieprawdziwym świecie, w którym przeszkody fizyczne pokonywała za opłatą rzesza najemników. Cyrk odnosi się do doświadczeń związanych z robieniem czegoś i to czegoś poważnego, a nie z nierobstwem. Co się tyczy burżuazji, cyrk zachował swą nieskazitelną popularność wśród mieszczańskich dzieci. Wszystkie bowiem dzieci są bardzo poważnie zajęte robieniem czegoś.

Tu w cyрку właśnie, widzujemy symboliczne przedmioty umowne, kolorowe maczugi i lśniące krążki — jak zdają się dla zręcznych dionio zonglera uprzejmie „zawieszać” działania praw fizyki. Z uczuciem radosnego podniecenia patrzymy jak te same przedmioty tworzą w przestrzeni ruchliwy system — migotliwy kosmos — posłuszny dioniom kilku artystów przerzucających się nimi w ilości, która czyni niepojętym to posłuszeństwo.

W cyрку oglądamy ludzi, którzy znieśli pierwszą linię mechanicznego oporu trującego nam wiele chwil — sztywności kości i mdły niedostatek naszych mięśni. To wielka satysfakcja dla świadomości ludzkiej i hold jej złożony — te swobodne, niewymuszone mostki, zwisy, skoki, przewroty, wszystkie te figury złożone, precyzyjne i urągające takiej anatomii i biologii, jaką my widzowie znamy z doświadczeń własnych. Inaczej niż na widoku sportowym, nie pytamy się — uda im się, czy się nie uda — ale — do czego oni się jeszcze posuną.

Obserwujemy publiczność w czasie występów rekwizytów, w czasie ich zdumiewających lotów wokół drążków. Te uśmiechy na twarzach to właśnie znany sen o tym, żeby nie mieć ciężaru, omijać przedmioty, oderwać się, przestając być jednym z nich. Radość zrealizowanego snu.

Widziałem w chińskim cyрку, jak w rękach młodego aktora świeżych bambusowych i sześć tańców tworzyło bukiety drgających kwiatów, żywych jakimś jedynym życiem, wyczarowanym przez artystę. Widziałem w cyрку radzieckim

tu nowy styl przedstawienia cyrkowego, w którym odrzucono sensacyjną stronę zręczności, momenty grozy czy mistyfikacji. Nowy styl opiera się na słusznej mierze — proszę wybaczyć słowo — realizmu.

Zespół ten zdaje się ciężać ku popisom ze zwierzętami. Pominę tu akrobacje na koniach. Jest to osobna sprawa — zwierzę jest tu właściwie rekwizytem. Sprawa ta przytem mieści się w tej poetyckiej ludzkiej zręczności, którą rozwijałem. Natomiast tresura nasuwa nowe, otwarte zagadnienia — gdybym się nie bał, powiedziałbym — teoretycznie.

Nasz sojusz ze zwierzętami jest właściwie dość wątpliwy. Rzeczywisty pozostaje przede wszystkim dla ludzi wsi. Dla nas mieszcuchów, koi, pies, nawet krowa, powiedzmy sobie szczerze, spotkane gdzieś oko w oko na uboczu, są nieco straszne. Wobec świata in-

by się bały. Zastępuje go się innym postaciami wygłaszającymi kwestie typu skoczowego.

Ja bym chciał klauna obronić. Ta postać bardzo się zrosła z cyrkiem. Pokrzykujący swoje brednie już gdzieś w głębi kulis, gdy służba pomocnicza uprząta arenę po numerze, wyczekiwany był zawsze przez miłośników sztuki cyrkowej, przynosił odprężenie. W praktyczny, rozsądny ruch, który panuje w cyрку między dwoma popisami wnosi on element tej samej gry w wersji komicznej.

Wyrasta on bardzo z całej logiki cyрку, to jest ten sam temat sprawności, tylko odwrócony. Klauna zawodzą jego ruchy i jego ciało. Potyka się o własne nogi, w nosie rozbłyska mu niespodziewanie światło, nedoręczne zdania wypowiada głosem zbyt niskim lub zbyt wysokim. W cyрку, i tylko w cyрку, to właśnie bardzo śmiesz-



stynktu, człowiek miasta, człowiek epoki maszyn i racjonalizmu traci trochę rezon. Była taka tradycja cyrkowa, która z zerknięciem człowieka ze zwierzęciem robiła misterium instynktów ujażdżonych, ale kłapiących. Kłuto nawet podobno leniwe i znużone lwy, aby rzywały i szczyrzyły się na pogromcę, który przybierał poży magnezyera. Nasze cyrki dają zamiast tego widowska dydaktyczne. Niebawie cywilizowane niedźwiedzie odby-

Z postacią klauna zrosła się cała literatura. Była to śmieszność beznadziejna, a przytem śmieszność ośmieszona, nie budząca nawet litości. Niektórzy chcieli się w tym dopatrywać tragizmu. Myślę, że to rzeczywiście przekraczało miarę dopuszczalną wobec człowieka.

Próbowano wypełnić intermezza czym innym. Chodziło tu także o pewne ich upolitycznienie. Wydaje mi się, że wszystkie te skępe, kuplety i tym podobne rzeczy w cyрку są w sensie artystycznym nie na miejscu, są z innego świata. Możliwości wszelkiego aktorstwa w cyрку są przytem niezmiernie ograniczone. Musi ono być ciągle takie samo.

Postać klauna, klauna „jako takiego” można rehabilitować. W tradycji teatru ludowego jest postać głupka-wesołka, który na końcu okazuje się mądrzejszy od wszystkich. Widziałem już i w innych cyrkach naszych i w tym ostatnio oglądanym podobne rozwiązanie sprawy klauna, który na przykład porwany ideą naśladowania akrobatów, po nieudanych próbach, wychodził z jakichś niezwykłych oparów, ujawniając zręczność tyle większą, że wystarczyła na pokonanie skutków poprzednich fałszywych kroków. Spód śmiesznej maski ukazywała się na końcu postać młodego atlety. Muszę tu uczynić osobiste zwierzenie. Jestem sedentariuszem, ofiarą tzw. „siedzącego” trybu życia. Partia siatkówki ścina mnie z nóg. Nieoczekiwany triumf pokraiki wypełnił mnie dziwnym ciepłem. Może mi się wydawało, ale widziałem wdzięczną sympatię i u innych widzów.

Jeszcze jeden argument: klaun może świetnie mówić dowcipy wystrzone politycznie tak, jak każde inne. Przecież to śmieszność sama, zdolna ośmieszyć wszystko, co do ośmieszenia się nadaje. Musi tylko mieć odpowiedni tekst. Należy pamiętać, że wszystko, co wychodzi z ust klauna jest sparodiowane, „zaprzeczane”.

Podobno artyści cyrkowi w zimie ćwiczą w specjalnych obozach. Bez światła i bez widzów, nawet bez areny i namiotu, w zwykłych kostiumach lekkoatletycznych, ćwiczą tam oni swoje trudne tańce. Cyrki nasze od 1 do 11, lada tydzień pokrzepione festiwalem swej sztuki we Wrocławiu rozpoczynają sezon. Czeka-



Dziś fraszki

STANISŁAW JERZY LEC

WITOLD GAWDZIK

Myśli formalisty

Mam pięć jambów, trzy trocheje, podzwaniając już dwa rymy. Czas już zacząć epopeję! O czym? Zobaczymy!

Ewolucja

Gdy w poecie gasną ognie, smaży z innych antologii.

JAN CZARNY

Do megalomana

Muzy synul Moim zdaniem Nic po tobie nie zostanie. Ci, co dzisiaj mają pomnik, Kiedy żyli, byli skromni.

Na pewnego krytyka

Chwali me wiersze już po raz wtóry — To znak, że nadal pisuję bzdury.

KRYSTYNA SALABURSKA JESIENNY DESZCZ

Tragedia w jednej odsłonie z udziałem: Męża, który jest dramaturgiem. Żony, która pracuje zawodowo i społecznie. Tego Trzeciego, który przychodzi w odpowiedniej chwili oraz Młynka.

JEDNA ODSŁONA

przedstawia nam pokój dramaturga, biurko dramaturga i samego dramaturga. Dramaturg pracuje: łyka mocę, pyka fajkę, obgryza wieczne pióro służące do kreślenia uprzednio napisanych zdań. Po chwili wchodzi żona dramaturga, zdejmując oczekującą deszczem jesiennym pelerynę.

Dramaturg (czyli Mąż żony, która ra weszła): Wróciłaś?

Zona: Tak. Miałam dwa zebra- nia, naradę produkcyjną, tysiące spraw, Piszesz?

Mąż: Pięć godzin tworzę pierw- sze zdanie. Zaparz kawę.

Zona: Tak... (bierze młynek) Wiesz? Pada deszcz...

Mąż: Podesunęłaś mi myśl! Za- cznę od narady produkcyjnej...

Zona: Lubie jesienny deszcz...

Mąż: Staffa?

Zona: Nie, ten za oknem. (wys- puje kawę do młynka).

Mąż: Mam rewelacyjny pomysł, wiesz?

Zona: Wiem. Chodźmy dziś do teatru!

Mąż: Wiesz przecież, że nie zno- szę teatru! Słuchaj. Bohater pozy- tywny, przystojny blondyn, mocny, wspaniały człowiek...

Zona: (miełe kawę) Dlaczego wspaniały?

Mąż: No, wyrobiony społecznie, trwający nieugięcie na posterunku.

Zona: Milicjant?

Mąż: Racjonalizator. Dokonał genialnego, nie wiem jeszcze jakie- go, wynalazku...

Zona: Ale ma swoje życie pry- watne?

Mąż: Ma żonę, sześcioro dzieci i psa.

Zona: A może lepiej, żeby się pobrali dopiero w ostatnim akcie?

Mąż: Dlaczego lepiej?! Aha, watek miłosny! Dialogi o współ- nym warsztacie pracy prowadzą ich do Urzędu Stanu Cywilnego.

Ale to niepotrzebnie komplikowało- by akcję.

Zona: Więc ma żonę...

Mąż: Tak, ma żonę wyrobną politycznie i społecznie, która rów- nież trwa nieugięcie...

Zona: A ich problemy osobiste? Ich kłopoty?

Mąż: Żadnych problemów oso- bistych! Kroczą ramię przy ramie- niu...

Zona: Przed nimi sześcioro dzie- ci i pies.

Mąż: Tak, pies zapewni sztuce powodzenie. Zresztą potrzebny do akcji, ponieważ w mieszkaniu bo- hatera gina plany jego wynalazku.

Sledztwo... Zazdrosny szwagier?... Dzieci?... Sublokatora, podejrzana platynowa blondynka?... Zagadnie- nie społeczne...

Zona: Słuchaj, mam kochankę!

Mąż: ...jakie zakładałam już w pierwszym akcie... Coś ty powie- działa?!

Zona: Mam kochankę.

Mąż: Jak to? Teraz, kiedy po- trzeba mi spokój do pracy?! Za- raz... więc co? Masz kochankę???

Aaaa!!! Kochasz go? On ciebie ko- cha? Chcesz odejść? Młody? Młod- szy ode mnie, tak? No, mów, dla- czego nic nie mówisz?!!!

Zona: (miełe kawę) Czekam...

kiedy mnie spytasz czy jest wyro- biony politycznie, czy pracuje spo- łecznie. Ale wiem tylko, że ma szare oczy. Że patrzy na mnie spod przymkniętych powiek i wtedy serce mi bije inaczej niż na dysku- sji w Kole Ligi Kobiet...

Mąż: Nie męcz mnie! Oszaleję!! Nie będę mógł pracować!!!

Zona: A widzisz! K o n f l i k t

Jedenasta muza

Kalope, niestety, w nos dała mu przytkniętą. Przygarbiona go inna: litościwa Klika.

Reguła

Natura takie prawo dla twórców stworzyła! Gdy Pegaz nie nadleci, zjawia się — „kobyła”!

LECH CHMIELNY

Do wiadomego...

Wierszy-ś próbował — wyszły nici. Powieść-żeś skleił — wyszła bzdura. Nawet się żona twoja wstydziła, boś dramatami nic nie wskórał.

A stąd ten przytyk: Ześ teraz krytyki!

LEON PASTERNAK

Mea culpa

Gdy się mnie pytały skąd do moich nowe i wciąż nowe są tematy? Odpowiadam szczerze, wście się nie ludzę! Często za grzech własny w pierś się biję... cudzą...